Nr. 38 (1186). Warszawa, dnia 6 (19) Września 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na Wschodzie Europy coraz gorzej: Bulgarowie księstwa dążą już jawnie do wojny z Turcyą, a wszędzie dzieje się toż samo, co w narodzie. Ks. Ferdynand nie dlatego bawi w Euxinogradzie, żeby mu jesień nad M. Czarnem szczególnie rozkoszną była, ale dlatego, że się lęka wrócić do Sofii. Powstańcy, czując za sobą pobratymców z wolnego księstwa, nie myślą zasiąść na pokutniczem; wiedzą przytem, że im Europa, działająca na Bałkanach, nie zrobi krzywdy. Wzburzenie w sandżaku Kirkilisse ciągle w przeszłym tygodniu rosło; około Monastyru powtarzały się walki; okolice Adryanopola nie były spokojne; obszar powstania większy jest niż w zimie. Dynamit nie przestaje być wiernym idei narodowej sługą. Na okręt w Burgas wniesiono znowu cały ładunek, a w Salonikach wykryto skład potężnego współdziałacza Macedończyków. Sprawa reform, sprawa większej lub mniejszej natarczywości w ich żądaniu, a uczciwości i pośpiechu w przeprowadzeniu — jest czysto akademicką. Nie zajmują się nią już poważni praktycy. Zmiana osób w rządzie prowincyonalnym, w dowództwie wojska jest również czczą, bez żadnej doniosłości dla stosunków i zamysłów. Jeżeli Macedonia ma być jeszcze wyprażoną w reformach, to ogień pod nią rozpali sama Europa przez odpowiednie okupacye. Nie wstrzymają tego procesu nawet nieporozumienia dyplomatyczne: właśnie najlepszym, bez wojny, sposobem do zażegnania ich będzie wspólna posesya, ścisłej detencya — krajów, które w dotychczasowych środkach znajdowały raczej podnietę, niż zaporę.

Na dalekim Wschodzie trwają wciąż rokowania między dwoma przeciw sobie oko w oko występującemi mocarstwami. Można zupełnie wierzyć *Timesowi*, że jeszcze 12 sierpnia poseł japoński doręczył rosyjskiemu memoryał pojednawczy. Każde państwo ma prawo pilnować własnej swej kolei własnem wojskiem. Mandżurya ma być przez obie strony wojskowo zajętą; przyczem Japonia nie uznaje dzisiejszego stanu posiadania.

Sejmy austryackie od d. 10 b. m. zaczęły się zbierać na narady; d. 14 t. m. rozpoczął swe czynności sejm galicyjski pod nowym marszałkiem, Stanisławem Badenim, i nowym namiestnikiem, Andrzejem Potockim. Mowy wstępne dość efektowne, tem szerzej tylko roztworzyły przepaść potrzeb, krzyczących o zaspokojenie. Najpilniejszą jest sprawa regulacyi rzek — choćby tylko Wisły pod Krakowem, i tak marnej, Rudawy — od dwudziestu lat, prawdziwie ku hańbie autonomii galicyjskiej zbywana marnemi obietnicami lub niedołężną techniką. Zniszczenia tegoroczne w żadnym kraju koronnym nie mogłyby się były wydarzyć: wybrana Galicya sama jedna tylko mogła być ich widownią. Brak woli, anemia czy uwiąd starczy — nie pozwala nawet tak drobnej polityce, jak regulacya rzek i potoków ukształtować się w sposób godny ludzi, korzystających aż z dwóch sejmów, z wolnej prasy, z praw politycznych, administracyjnych i gminnych. Jeżeli kto, to namiestnicy i marszałkowie powołani są z prawa do wykrzesywania właśnie energii z samych siebie, z kraju, i z rządu.

Z otwarciem sejmu lwowskiego zbiegł się przyjazd cesarza austryackiego do Lwowa — a może wprost przeciwnie dzień otwarcia oznaczono umyślnie nazajutrz po przyjeździe. Przyjęcie było bardzo wspaniałe, a czterogodzinny tylko pobyt w mieście wystarczył na programowe mowy: marszałka, prezydenta i jakby od tronu odpowiedzi cesarza. Franciszek Józef przejeżdżał na manewry wojskowe do Chłopów.

W Beyrucie spokojnie.

Cesarz Wilhelm polował pod Mochaczem; d. 18 b. m. spodziewał się go w Wiedniu Franciszek Józef.

Król belgijski ujął sobie Francyę przeciwko Anglii, która postanowiła poruszyć dyplomatycznie niegodziwości spełnione w Kongo.

P. Combes d. 13 w Tréguier, w Bretanii, w mowie prawie urzędowej stwierdzał polityczną i ideową moc rzeczypospolitej.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Gimnazyum cieszyńskie. — Unarodowienie Śląska. — Demokratyzacya przemysłu. — Zwycięstwo ludowców w Bocheńskiem.

Dnia 27 sierpnia przybyła do Cieszyna komisya odbiorcza, złożona z czterech członków: starosty rządowego, radcy budownictwa, radcy rachunkowego i lekarza rządowego. Komisya udała się do gimnazyum polskiego, odebrała spisy inwentarza i sprawdziła, że przedmioty spisane istotnie są na miejscu. Z dniem 1 września gimnazyum cieszyńskie stało się państwowym zakładem naukowym. Na znak radości w nocy 1 września we wszystkich wsiach Śląska zapalono beczki smolne i ogromne ognie. W ten sposób lud polski uczcił iluminacyą tak doniosłą chwilę. Społeczeństwo polskie pozbyło się w końcu ciężaru, który wedle wszelkich zasad sprawiedliwości powinien był ponosić od samego początku skarb rządowy.

W ostatnim roku szkolnym gimnazyum cieszyńskie miało 250 uczniów Najwięcej było synów włościan — 105, synów robotników było 84, synów rękodzielników i przemysłowców — 53, z rodzin inteligentnych pochodziło 35 uczniów, a więc zaledwie siódma część ogółu. Z 250 uczniów opłatę roczną, wynoszącą 30 złr., wnosiło w ostatniem półroczu 83. Czy gimnazyum rządowe będzie równie względne dla dzieci rodziców ubogich, jak szkoła prywatna, utrzymywana przez całe społeczeństwo, rzecz to wątpliwa. Wobec tego potrzeba jak najwięcej stypendyów. Potrzebna też bursa dla ubogich uczniów. Plac, na którym stoi gimnazyum, a który jest własnością Macierzy szkolnej, jest tak duży, że

mógłby na nim stanąć i gmach szkoły ludowej (mieszczącej się obecnie w lokalu wynajętym) i bursa. Na to jednak potrzeba pieniędzy. Ażeby zdobyć środki konieczne, Macierz szkolna wystarała się u rządu o pozwolenie na urządzenie loteryi fantowej. Wydano 100,000 losów po 2 korony, a jeśli loterya się powiedzie, otrzymanych z niej pieniędzy wystarczy i na fundusz stypendyalny i na bursę, którąby dała przytułek i opiekę najuboższym lub osieroconym uczniom gimnazyum.

Teraz, kiedy gimnazyum polskie zostało upaństwowione, Macierz szkolna zwróci swą uwagę przedewszystkiem na wychowywanie polskich nauczycieli ludowych. Szkoły ludowe Cieszyńskiego posiadają obecnie niewystarczający jeszcze zastęp nauczycieli-Polaków w prawdziwem tego słowa znaczeniu. O takich zaś nauczycieli bardzo trudno bez polskiego seminaryum nauczycielskiego. Walka więc o jego zdobycie na Śląsku jest obecnie rzeczą najpilniejszą. Ta walka jednak będzie bardzo trudną, gdyż centralistyczno - germanizatorskie wpływy w opawskiej radzie szkolnej, krajowej są nader silne. W każdym razie powstanie polskiego seminaryum nauczycielskiego w Cieszynie jest tylko kwestyą czasu.

W ten sposób Śląsk cieszyński coraz bardziej będzie nabierał cech polskich i zewnętrznie. Za lat cztery czy pięć tegoczesni maturzyści gimnazyum cieszyńskiego zaczną wracać z uniwersytetów i technik, aby osiąść w kraju rodzinnym jako lekarze, adwokaci, inżynierowie, architekci, chemicy, urzędnicy różnych dekasteryj itd. Cieniutka obecnie warstewka inteligencyi polskiej w Cieszyńskiem rozrośnie się szybko. Ta inteligencya w przeważnej części wychodząca z ludu, odegra na Śląsku niewątpliwie takąż samą rolę, jaką odegrała inteligencya czeska i Cieszyńskie stopniowo będzie się coraz bardziej zespalało z resztą kraju, zrzucając z siebie skorupę zewnętrznych wpływów niemieckich i czeskich.

Że te wpływy obce są bardzo powszechne i utrzymują się prawie wyłącznie wskutek warunków politycznych, to nie ulega wątpliwości. To też każdy krok w kierunku większego zdemokratyzowania ustroju państwowego Austryi musi przyczynić się do wyzwolenia polskości z pod przewagi niemczyzny i czeszczyzny.

Sprawa uprzemysłowienia Galicyi nie schodzi z porządku dziennego. Istotnie ta sprawa, od której pomyślnego załatwienia zależy przyszłość kraju, musi zajmować umysły wszystkich, co się tą przyszłością interesują. Z powodzi artykułów, poświęconych różnym projektom wprowadzenia przemysłu galicyjskiego na tory normalne, wyróżnia się dodatnio praca p. Józefa Olszewskiego, pomieszczona w *Słowie Polskiem*. Autor jej wskazuja główny brak we wszystkich usiłowaniach stworzenia różnych gałęzi przemysłu galicyjskiego, mianowicie nieumiejętność zastosowania tych usiłowań do naturalnego rynku chłopskiego. Wytwarza się artykuły zbytkowne, gdy tymczasem przedmioty pierwszej potrzeby sprowadza się z zagranicy.

Zaczęto marzyć o olbrzymim przemyśle naftowym, nie pamiętając o tem, że nafta, wydobyta za obce pieniądze, na rachunek obcych kapitałów, nie może w znacznej części znaleźć zbytu w kraju ani w stanie surowym, ani w stanie przerobionym, bo niema dla niej jeszcze odpowiedniego szerszego zastosowania i pójdzie za granicę, wzbogaciwszy co najwyżej małą ilość właścicieli wykupionych terenów w sposób niezdrowy, bo zbyt gwałtowny, a z korzyścią chyba tylko dla bilansu kolei, wywożących ją z kraju.

Zaczęto budować zbytkowne koleje, niemające co przewozić, fabryki likierów, których u nas niema komu pić, bo chłop woli prostą wódkę, a już kapotowy konsument pyta o Chartreuse lub Benedyktynkę. Urządzono fabryki kilimów, które kupuje dwustu zamożnych ludzi w kraju. Powstaje produkcya wazonów majolikowych, których w najlepszym razie zbyć można kilkaset sztuk rocznie, gdy tymczasem z jednej fabryki Siemensa w Czechach sprowadza się do Galicyi za 300,000 koron rocznie prostych flaszek do piwa, wódek i wody mineralnej. Szkoła stolarstwa artystycznego w Zakopanem produkuje rocznie za parę tysięcy cacek stylowych, a tymczasem krocie wychodzą z kraju za tanie meble wiedeńskie, wyrabiane w dodatku z surowca galicyjskiego. Wszystkie razem wyroby stylowego hafciarstwa galicyjskiego nie stanowią ćwierci sumy, wywożonej z kraju za pończochy i skarpetki. Powstaje wielka garbarnia akcyjna (w Rzeszowie), która zamiast produkować skóry tanie z surowca, którego mamy w kraju podostatkiem, zamiast stać się głównym dostawcą skór na zwyczajne, chłopskie buty, zaczyna puszczać się na wyrób pasów łańcuszkowych do transmisyj dla nieistniejących w kraju fabryk, według jakiegoś egzotycznego patentu, którego nigdzie nie chciano kupić. Fabryka musiała zbankrutować i zbankrutowała, powodując olbrzymie straty kapitałów prywatnych i publicznych, wywołując zniechęcenie i utrwalając zakorzenioną niewiarę w możliwość uprzemysłowienia kraju.

Ciekawe, że kiedy akcyjna garbarnia rzeszowska upadła, objął ją fachowiec, który liczył się z warunkami zbytu i skierował produkcyę na artykuły, mogące rachować na rozpowszechnienie masowe. W krótkim czasie zrujnowany interes odrodził się i począł funkcyonować normalnie.

P. Olszewski dowodzi tym przykładem że tylko „demokratyzacya" przemysłu zdoła temu ostatniemu zapewnić rozwój. Z chwilą, kiedy zauważono, że chłopi przestają używać dotychczasowych prostych wyrobów własnego przemysłu domowego do stroju, budowy domów, pożywienienia, zabawy i rozrywki i w miejsce płótnianek, kożuchów, kierpców z surowej skóry zaczynają kupować sukienne, drelichowe, i perkalowe ubrania tandety niemieckiej oraz chustki i szaliki wełniane, przychodzące do kraju w setkach tysięcy sztuk z Czech, Śląsku i Moraw za pośrednictwem podgórskich, krakowskich i bialskich hurtowników, należało rozpocząć produkcyę do tych potrzeb zastosowaną. Kiedy chłop z konieczności dla drożyzny drzewa, gontów i słomy zaczął używać do budowy domu lichej cegły, dachówki, blachy albo taniej niemieckiej papy tekturowej, trzeba było ułatwić mu nabycie tych artykułów w kraju. Kiedy zamiast dawnej fujarki wierzbowej zaczęły po wsiach i miasteczkach odzywać się tysiącami czeskie, pruskie lub szwajcarskie harmoniki ręczne, kiedy w mieszkaniach chałupników i zarobników poczęły się pokazywać wiedeńskie, czeskie i amerykańskie budziki, kiedy w miejsce dawnych domorosłych krzyżów przydrożnych, wykonanych na miejscu, pojawiły się figury świętych i krzyże lane z żelaza; kiedy po kościołach i cerkwiach zaczęły napływać w coraz większej ilości ofiary pobożnych: ornaty, kapy, chorągwie, lampy i inne rzeczy, kupowane za bajońskie sumy z fabryk tyrolskich, czeskich itd. wówczas należało wytężyć wszystkie siły w kraju, aby stworzyć przemysł, zastosowany do nowych wymagań konsumentów z ludu. Roczny obrót i zbyt wszystkich tych „chłopskich" towarów dochodzi w Galicyi do dziesiątków milionów, które idą za granicę, dokąd też wychodzą dziesiątki

---

Knut Hamsun.

ZAGADKA.

Spotykam po raz trzeci tego samego człowieka. Prześladuje mnie ustawicznie, nigdzie nie mogę być bezpiecznym, wszędzie go znajduję i w najodludniejszych zakątkach mogę się zetknąć z nim oko w oko. Raz nawet zastałem go w moim własnym pokoju w Chrystaynii... przyszedł przedemną, stał właśnie...

Ale zacznę od początku:

Pierwszy raz spotkałem go w Kopenhadze — było to około Bożego Narodzenia 1899 r., mieszkałem wtedy gdzieś na Klarebodene.

Pewnego razu byłem sam w pokoju — dokładnie pamiętam, że siedziałem nad nutami, które miałem przepisać, co sprawiało mi wielką trudność, nie umiałem bowiem nut czytać.. wtem zapukano lekko, jak gdyby ręką kobiecą. Zawołałem, proszę — i wszedł mężczyzna.

W progu zdjął kapelusz i czarne oczy ukwił we mnie, gdy zbliżał się do stołu, przy którym siedziałem. Przepraszał, że nachodzi mnie aż w mieszkaniu, ale widywał mnie wchodzącego do restauracyi i zdaje mu się, że jesteśmy dawnymi znajomymi. — Czy nie przypominam go sobie z Helsingöru, ze stacyi policyjnej Helsingör?

Nigdy nie byłem w Helsingörze... zapewne pomyłka...

Nie? to może w Malmö? Ależ tak, im więcej się zastanawia, tem dokładniej sobie przypomina, że spotkał się ze mną w Malmo.

Ale i w Malmö nie byłem nigdy.

Wymienił mi kilka miejscowości a za każdą moją odpowiedzią powtarzał: Czekaj pan! Wyraźnie pamiętam, że pana gdzieś spotkałem, tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to było.

Nakoniec wymienił Chrystyanię, a ja już mu przytwierdziłem prawie. Zrodziło się, we mnie przypuszczenie, że chyba rzeczywiście spotkałem go kiedy w Chrystyanii, sam już nie wiedziałem, co myśleć.

— Zresztą nie mam żadnego do pana interesu — rzekł — przyszło mi tylko na myśl przypomnieć się panu, jako rodakowi i dawnemu znajomemu.

Rozmawialiśmy chwilę o rzeczach obojętnych, o czem? nie pamiętam nawet. Przypominam sobie tylko, że słowa jego często można było tłomaczyć rozmaicie, że było w nich coś zagadkowego, że wogóle ten człowiek wydał mi się tajemniczym.

Żegnając się, przepraszał raz jeszcze, że jest natrętny a w końcu powiedział.

— Nudzę się, nie mam zajęcia. Od czasu do czasu wpadam na pomysł zakpienia sobie z policyi... ot, dla rozrywki, ale przychodzi mi to zbyt łatwo i przestało mnie już zajmować.

Mówił to z zupełną powagą, ja wziąłem jednak za żart jego słowa.

Od drzwi odwrócił się raz jeszcze i jak gdyby sobie nagle coś przypomniał, zaprosił mnie na wspólną przejażdżkę wieczorem... ze względu na dawną znajomość. Z razu podziękowałem, nie wiem zresztą dlaczego nie miałem ochoty, ale po chwili rozmyśliłem się i przyjąłem zaproszenie. Na ostatku radził mi nie brać z sobą pieniędzy. Ostrożność nigdy nie zaszkodzi — polecił mi pieniądze dać do przechowania gospodarzowi. Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi, ale zgodziłem się na to i przyrzekłem stawić się o godzinie piątej pod „Koniem."

Po jego odejściu zastanowiłem się nieco nad gościem i jego słowami. Odwiedziny jego wydały mi się czemś niezwykłem.

tysięcy robotników, niemogących znaleźć zarobku w domu.

Niedawno odbyły się w powiecie bocheńskim wybory do rady powiatowej i do wydziału powiatowego. Wybory te sprawiły niespodziankę i stańczykom i sprzymierzonemu z nimi ks. Stojałowskiemu, ponieważ skończyły się porażką i tego ostatniego i pierwszych. Agitacya przedwyborcza była bardzo ożywiona. Ks. Stojałowski na zgromadzeniach wyborczych z góry już ogłaszał tryumf swego stronnictwa i nawoływał w „Wieńcu i Pszczółce,“ aby żadnego ludowca nie dopuścić do rady powiatowej. Tymczasem przy wyborach z grupy gmin wiejskich przeszła lista ludowców.

Bardziej doniosłem jest jednak usunięcie z krzesła prezydyalnego dotychczasowego prezesa rady powiatowej i posła na sejm p. Zdzisława Włodka, w którego miejsce wybrano marszałkiem powiatu p. Hanusza, notaryusza. Nikt z kliki konserwatywnej nie przypuszczał, ażeby się mogło stać coś podobnego. Utarł się bowiem zwyczaj, oparty zresztą głównie na ucisku i przekupstwie, że marszałkiem powiatowym był z reguły obszarnik. Za czasów Badeniego nie zatwierdzano nawet marszałków, jeśli nie zaliczali się do właścicieli większej posiadłości ziemskiej. W ten sposób monopol marszałków-obszarników do rządów i gospodarowania w kraju otrzymał wyraźną sankcyę rządu cetralnego. Ale od czasów badeniowskich dużo się w Galicyi zmieniło i dziś *Czas* napróżno rozpaczliwie nawołuje do wtrącenia się „władzy nadzorującej.“ Uchwała zjazdu stronnictwa ludowego, aby na prezesów powiatowych wybierać więcej reprezentantów miast, a nie wyłącznie właścicieli ziemskich, została wykonana w Bocheńskiem, a za przykładem Bocheńskiego niewątpliwie pójdą włościanie-ludowcy i innych powiatów. W ten sposób stopniowo usunie się jedną z przyczyn demoralizacyi i nadużyć politycznych. *Daleki.*

Z kursów akademickich

W SALCBURGU.

I.

Obrząd dusz w pięknej, górzystej krainie, której stolicą jest Salcburg, starożytna siedziba biskupia, walczą z dawna dwie partye: klerykałów i narodowych. Obie tkwią silnie w tradycyach ludności, późno do Austryi przyłączonej, obie też znajdują tu w zadaniach swoich silny oddźwięk i świadome poparcie—obie ścierają się o każdą piędź ziemi. To też gdy klerykali powzięli myśl założenia w Salcburgu uniwersytetu katolickiego z funduszów prywatnych, z grosza zaofiarowanego, który w kraju, mającym tak bogatą arystokracyę, grupującą się pod sztandarem klerykalizmu, obficie mógłby popłynąć, narodowi odpowiedzieli żądaniem utworzenia nowego uniwersytetu państwowego. Rychło, obok klerykalnego komitetu uniwersyteckiego, złożonego z duchownych i arystokracyi, zawiązał się drugi o charakterze świecko-niemieckim, mający rozbudzać zainteresowanie się myślą założenia w miasteczku, sławnem dotychczas z pięknego położenia, z licznych zabytków przeszłości, z pobytu dwóch mistrzów tonu, Mozarta i Haydna, po których tu zostało mnóstwo pamiątek, nowego źródła wiedzy, mogącej przez dobór odpowiednich profesorów pójść kiedyś na służbę wielko-niemieckich ideałów.

Ale rachuby zawiodły. Ani arystokracya, ani wyższe duchowieństwo, na którego pomoc liczono, szkatuły swej nie otworzyły, fundusz rósł tak wolno, że choć lat parę upłynęło od chwili narodzenia się planu, uniwersytet katolicki pozostał nadal nabożnem życzeniem nabożnych ludzi, a zabagnienie parlamentarne utrudniło wszelkie żywsze kroki w celu uzyskania dla Salcburga uniwersytetu państwowego — bodaj drogą koncesyi narodowej. Pomimo tego, prowadzona przez prasę klerykalną i narodowo-niemiecką agitacya za uniwersytetem w Salcburgu nie pozostała bezpłodną. Powtarzane z taką siłą zapewnienie, że na zielonem tle, zarośniętych lasami, górskich stoków poważne mury gmachu uniwersyteckiego lepiej się rysują, niż na szarem tle wielkomiejskich kamienic, że płynąca z gór cisza stwarza nastrój dla nauki odpowiedniejszy od gwaru stolicy, że piękna przyroda Salcburga więcej umysły i serca podnosi, niż najwspanialsze dzieła rąk ludzkich, nagromadzone w wielkich miastach, zdobyło wiarę u ludzi nawet obcych zatargom partyjnym, rozbudziło u mieszkańców i władz Salcburga zainteresowanie się sprawą uniwersytetu i przygotowało grunt, na którym niespodzianie zeszedł plon nowy.

Niestrudzony bojownik na polu szerzenia oświaty, profesor uniwersytetu wiedeńskiego, Ludwik Hartmann, należący do tych nielicznych ludzi, którzy widzą w nauce coś więcej nad fach, nad przygotowanie do zawodu, którzy chętnie niosą wiedzę tym, dla których jest ona wytchnieniem po pracy i tą atmosferą czystego powietrza w chwilach wypoczynku, zaofiarował swą pomoc poruszonej agitacyą inteligencyi Salcburga. Tym sposobem obok istniejących już dwóch komitetów uniwersyteckich powstało „stowarzyszenie naukowych kursów wakacyjnych w Salcburgu,“ wolne od wszelkiego charakteru politycznego.

Krótko trwały przygotowania — pomysł, listę profesorów, spis wykładów i termin ich rozpoczęcia podały gazety w tak krótkich odstępach czasu, że gotowa już instytucya zaświadczyła o swem istnieniu, a jeszcze pogłoskom o niej dawać nie chciano wiary.

Nie politycy, lecz ludzie poważnych zasług na polu naukowem i uczeni, stanowiący nietylko chlubę swojego narodu, przyjęli chętnie udział w przedsięwzięciu, mającem dać zaczątek trwałej instytucyi. Obok Lamprechta, prof. Tonnies z Kolonii, znany autor dzieł „Wspólnota a społeczeństwo,“ obok Kurta-Breysiga, prof. uniw. bolońskiego, którego mowa nad grobem Nietzschego uczyniła słynnym nawet tam, gdzie nie dotarła jego „Historya nowoczesnej kultury,“ obok Ostwalda—prof. Ziegler ze Strasburga, którego śmiałe wystąpienia w obronie wolności nauki (zwłaszcza z okazyi zamianowania Spahna prof. historyi) na niejedną już walkę naraziło — a dalej Werner Sombart, znany naszej publiczności z dwukrotnie na polskie tłomaczonego dzieła „Historya ruchu społecznego w XIX w.,“ Knapp G., prof. uniw. strasburskiego, którego historya uwłaszczenia chłopów wskazała nowe drogi całemu zastępowi młodych uczonych; prof. Weber z Berlina, Burkhard z Wiednia i długi szereg innych uczonych, przedstawiających przeważnie najnowsze kierunki i metody, który zapowiedzieli swe wykłady bądź na ten rok, bądź na przyszły.

Mimo niechęci rządu niemieckiego, ostrzegającego przed udziałem w antiklerykalnem przedsięwzięciu, przybyli do Salcburga z Niemiec nietylko profesorowie, ale i studenci, którym po raz pierwszy otworzyła się sposobność usłyszenia z jednej katedry sławnych mężów tylu uniwersytetów — i poparcia licznem przybyciem starań współziomków o własny uniwersytet.

A dlaczego mówił o pieniądzach? Zrazu dziwiło mnie to, ale wnet przestałem o tem myśleć, w podróży łatwo zawiera się znajomości, obcy człowiek w godzinę niespełna staje się towarzyszem, przyjacielem. Pod „Koniem“ znalazłem się o czasie umówionym.

Powietrze było łagodne a ulice tak błotniste, że musieliśmy wsiąść do dorożki. Spuściliśmy okna. Jechaliśmy przez Kopenhagę w kierunku zachodnim po pod Ladegaarden, gościńcem Rolighedove. Podczas tej całej drogi nie przemówiliśmy do siebie ani słowa ale też i dorażka turkotała niemiłosiernie. Gdyśmy przebyli most Grondal i wjechali na pola Ulterslevu, wyciągnął nieznajomy z kieszeni kawałek sznura i począł coś koło niego robić, nie spuszczając ze mnie oka. Wenątrz dorożki było dość ciemno, ale widziałem go dobrze i zauważyłem, co robi. Siedzimy, patrząc na siebie bystro. Nagle on się odzywa:

— Pan się przecież nie boi?

I w tej chwili podsuwa mi sznur tuż pod oczy.

Skłamałem, odpowiadając niepewnym głosem:

— Nie, czegóż miałbym się bać właściwie?

Ale drżałem ze strachu i miałem ochotę pociągnąć za sznur od dzwonka, aby wezwać pomocy dorożkarza. Irytował mnie przytem ten kawał powroza tuż przed mojemi oczami, wstałem zatem i przeniosłem się na przeciwległe siedzenie.

Tak jechaliśmy czas jakiś. On spuścił oczy i włożył sznur do kieszeni. Wyglądał jak gdyby się namyślał. Nagle podniósł się cokolwiek, wskazał coś przez okno, niby mocno zainteresowany i zawołał:

— Patrz pan! tam!

Mimowoli odwróciłem głowę i jednocześnie uczułem wilgotną rękę na szyi. Łotr stał pochylony nademną i zimnymi palcami ściskał mnie za gardło. Nie wiem, czym krzyknął, zdaje się, że nie, lecz w tejże chwili zaszła we mnie pewna zmiana. Przyszło mi na myśl, że ten człowiek chce mnie tylko nastraszyć lub zażartować sobie ze mnie; byłem przekonany, że nie ma zamiaru mnie udusić. To mnie rozgniewało i począłem go odpychać ze wszystkich sił. Ale on trzymał mnie mocno. Poza plecami namacałem sznur od dzwonka, uchwyciłem i pociągnąłem. A on, chociaż słyszał głos dzwonka, nie puścił mnie, tylko ściskał dalej. Chwilę borykaliśmy się z sobą, a podczas tego on zdołał mnie zranić w szyję tuż pod prawem uchem; tu jego zuchwalstwo przeszło wszelkie granice, zranił mnie gwoździem czy korkociągiem, czemś co wgniótł mi w ciało i co mi ból sprawiło. Nakoniec uwolniłem się, odepchnąwszy go z całej siły, zacisnąłem pięści i tłukłem go, gdzie trafiłem. Wtem dorożkarz otworzył drzwiczki, i teraz dopiero zauważyłem, że dorożka stanęła.

— Czy zawrócić? zapytał woźnica.

Wyszedłem nieprzytomny prawie. Mój towarzysz zaś nie ruszył się, zupełnie spokojny.

— Tak, zawrócimy — odparł.

— A ja pójdę z powrotem — powiedziałem — jeżeli chcesz, jedź — do piekła z tym człowiem.

— Pójdzie pan? pieszo? — zapytał dorożkarz.

Nieznajomy nie się nie odzywał, nawet nie patrzył na mnie. Rozgniewało mnie to do reszty. Rzuciłem woźnicy ostry rozkaz ruszenia, sam wskoczyłem do środka i zatrząsnąłem za sobą drzwiczki. Byłem zirytowany i czułem się bardzo silnym, wprost niezwykle silnym.

Bez potrzeby przysunąłem się tuż do mego towarzysza, rozparłem się szeroko, aby zabrać możliwie najwięcej miejsca i wcisnąłem go w kąt; popchnąłem też niegrzecznie łokciem, poprawiając się. A on zniósł to wszystko, nic nie mówiąc. Dopiero gdyśmy się zbliżali do Kopenhagi, powiedział z uśmiechem:

Ale obok Niemców i Austryaków nie brak tu i przedstawicieli innych narodowości. W dniu 31 sierpnia, w chwili rozpoczęcia wykładów, obliczonych na dwa tygodnie, z których każdy, niby „semestr“ siedmiodniowy, obejmuje odrębną grupę przedmiotów, w przepysznej sali dawnego pałacu biskupiego, z wielu grupek dolatywał język polski, rosyjski i francuski. Prof. Ziegler, którego cykl wykładów „o studencie niemieckim“ spotkał się w sferach uniwersyteckich Strasburga, zdumionych nowością tematu i jego „nienaukowością,“ z tylu trudnościami, rozpoczął dnia pierwszego zaraz wykład „o uniwersytetach i studyach uniwersyteckich,“ budząc wśród słuchaczy tem większe zainteresowanie, że temat stoi w związku tak ścisłym z myślą, w imię której dużą salkę wypełniono po brzegi.

Ponieważ ścisły podział pracy między poszczególne fakultety zmusza często do wyszukiwania przynależności dla poszczególnych zagadnień, Ziegler, profesor filozofii, zaznaczył zaraz na wstępie, jakby bojąc się o posądzenie przywłaszczenia, swoje prawo do obranego tematu. Tylko jeden dział bowiem — filozofia, pozostaje niejako *in officio* w styczności z innymi, czerpiąc z nich i wzajem je zasilając, i dlatego jej też jest obowiązkiem i prawem objąć całokształt studyów uniwersyteckich, zbadać je jako jedność i we wzajemnym stosunku poszczególnych części. Filozofowie tej miary, co Fichte i Schelling, niejednokrotnie w wykładach publicznych badali „powołanie uczonego“ (Fichte w 1794) „osobistość uczonego“ (Fichte, 1805), „metodę studyów uniwersyteckich“ (Schelling 1802), a w latach ostatnich Nietzsche w Bazylei, w wykładach o studyach wyższych, imieniem filozofów objął ten temat. Kto, jako pedagog w najobszerniejszem znaczeniu tego słowa ma ważyć i badać zadanie nauki i wychowania, kto z punktu widzenia etyki musi oceniać stosunek między poszczególnemi jednostkami, grupami i warstwami społecznemi, temu już z urzędu niemal przysługuje prawo oceniania uczonych, nauczania i uczących się.

W poglądzie historycznym na rozwój uniwersytetów dał prof. Ziegler obraz szkół klasztornych, z których one powstały w szeregu wewnętrznych i zewnętrznych przeobrażeń. Tak w XII w. ukształtował się uniwersytet paryski, a potem trzy niemieckie, chlubiące się dawnością swego istnienia (praski 1348 r., wiedeński 1365 i heidelberski 1385). Panował w nich wyłącznie i wszechwładnie scholastycyzm, a inaczej nawet być nie mogło, bo treść nauki, z góry dana, była przykazaniem wiary, którą nauka miała uzasadnić, w system zaokrąglić — Arystoteles i jego logika stanowiły pomoc — ale nie do krytyki i badań. Na piętrzące się trudności i wątpliwości wynaleziono lekarstwo w podwójnej prawdzie — innej dla nauki, a innej dla teologii, które w końcu zamiast ratować, zdyskredytowało scholastycyzm zupełnie.

Po przez alpejskie, śnieżne szczyty spłynął wtedy z włoskiej swej ojczyzny do Niemiec renesans i humanizm. Piękno po latach tylu na nowo wstąpiło w swoje prawa, szerząc pogodę i wesele w życiu i w jego odbiciu — w sztuce. We Włoszech cały naród począł oddychać żywiej, nowa melodya i rytm nowy odezwały się w całym narodzie. W Niemczech humanizm osiedlił się tylko w uniwersytetach, z których następnie sączył się wąziutkim strumykiem na zewnątrz. Ulrych von Hutten, a zwłaszcza Erazmus — oto dwaj najwybitniejsi przedstawiciele humanizmu politycznego w Niemczech.

Z dawniejszych untwersytetów stęchlizna ustępuje opornie przed świeżem tchnieniem, w nowych zaś Plato zajął miejsce Arystotelesa, poeci otrzymali pierwszeństwo przed ojcami kościoła, a kolegium wiedeńskie wieńczy laurem skronie piewców.

Zdybycze reformacyi łamały okowy, pętające naukę świecką w uniwersytetach, ale humanizm niemiecki, który w zaczątkach swych wydał Erazma, Włocha sercem i duszą, utracił szybko blask i stał się tu tylko protestem. Luter, który w początku domagał się więcej wolności dla nauki, w miejsce dotychczasowego scholastycyzmu, dał uniwersytetom w końcu scholastycyzm protestancki. Po krótkim rozkwicie w XVI stuleciu uniwersytety uważają znowu za wyłączne swe zadanie sposobić teologów do przyszłego zawodu, a Descartes, Bacon i Leibnitz stoją zdala — nie są profesorami.

Tu i owdzie odzywa się wolne słowo, lecz ginie bez echa; dopiero epoka Oświecenia bronią rozumu i silnego ducha łamie nietolerancyę luterańską. W r. 1737 powstaje w Götyndze uniwersytet, dający profesorom pewną niezależność od władz duchownych, a Wolf, wypędzony z katedry za przeczenie wolności ludzkiej woli, powołany zostaje przez Fryderyka II napowrót. Humanizm, zatopiony falami reformacyi, budzi się do nowej świetności, daje uniwersytetom nowe życie — i wychodzi z nich Winkelman, Goethe, Humboldt. Uniwersytety stają się źródłem i siedzibą wiedzy. Obok działu historycznego pojawiają się w programie uniwersyteckim nauki przyrodnicze. Wykłada Fichte i Hegel, wszystkie prawie świetne imiona tej epoki—to imiona profesorów, a choć śmiałe, niepoparte badaniem poglądy na istotę bytu, które z katedry głosił Schelling, nie wzbogaciły pozytywnej znajomości przyrody, zwróciły przecież umysły w pewnym kierunku. Opozycya przeciw czerpaniu znajomości o przyrodzie wyłącznie z głębi własnego ducha wydała w końcu Ludwika Büchnera, wraz z którym w uniwersytetach zapanował bezduszny materyalizm. A teraz najnowsza faza: Ostwald, Mach, Avenarius...

Wraz z nauką świecką i duch świecki wstąpił w mury uniwersyteckie. Student zamienił sukienkę kleryka na szablę i szpadę, wyszedł z konwiktu i z bursy na ulicę, wszczął tu i owdzie pijatykę i bijatykę, ale zbliżył się do świata i życia. W początku XIX wieku nadstawia w Niemczech piersi własnej, by zrzucić z ojczyzny obce jarzmo i wkrótce w duszach studenckich zrodzone czucie i myśl polityczna—jedność— z ław uniwersyteckich rozszerza się po kraju, ogarniając całe społeczeństwo. Rok 1848 to doba bohaterska studenteryi oraz chwila przełomowa zbratania jej się ze społeczeństwem. Lody zostały przełamane: nastała żywa wymiana myśli i uczuć między uniwersytetem a okalającym go światem.

Wolność akademicką, wolność profesorów i studentów przedstawił Ziegler w gorących słowach szermierza i z ojcowską serdecznością człowieka, który zna młodzież z osobistego zetknięcia się z nią, a może i ze wspomnień przechowanych w niestarzejącem się sercu. Wolność nauczania wypływa już z charakteru nowoczesnej wiedzy, która korzystając z materyału zebranego w ciągu wieków, każdą „prawdę“ gotowa w każdej chwili porzucić, jeśli tylko ostrze krytyki wyżłobi na niej najlżejszą bodaj skazę. Naukowe przekonanie profesora jest — w teoryi przynajmniej — najwyższym sędzią w kwestyach, niedających się rozstrzygnąć przy pomocy objektywnych danych, jego uczucie rozstrzyga również z katedry o słuszności odwiecznych praw, żądań i wierzeń. Dlatego też

— Zrobi pan chyba doniesienie, prawda?

Nie odezwałem się.

Wówczas on położył obie nogi na kapeluszu, który zdjąłem i rzuciłem na ławeczkę, abym mógł siedzieć wyprostowany; wcisnął mocno obcasy w denko, i słyszałem że trzasło. Widocznem było, że usiłował mnie nastraszyć a to upakarzało mnie i gniewało.

— Ale jeżeli pan chce donieść o tem — mówił dalej—trzeba to uczynić bezzwłocznie. Bo ja będę daleko, zanim mnie schwycą! Upewniam pana, że przed nadejściem ranka będę może w Skaane. Na nic wszystko! — Opowiadał jeszcze chwilę o tem, gdzie się znajdzie wkrótce a wreszcie dodał:

— A może się wcale nie ruszę, może będę miał zaszczyt pokłonić się panu na Ostergade.

Powiedział to głosem cichym, niemal smutnym. Tymczasem kapelusz mój pod jego stopami przybierał wygląd coraz bardziej płaski.

Nakoniec otworzyłem i ja usta i odpowiedziałem, że będę miał zaszczyt nie widzieć go wcale, jeżelibym nawet go spotkał kiedykolwiek, że będę go traktował, jak nic i nadeptam, gdyby mi się plątał pod nogami. — Nie wydam głosu z siebie, aby się przyczynić do powieszenia pana — powiedziałem, — gardzę panem i nawet nie zrobiłbym mu zaszczytu wyrzucenia go przez okno.

Tegobym zresztą nawet nie mógł zrobić, ale powiedziałem, ot, jak się to zwykle mówi. A on zniósł wszystko.

Pod „Koniem“ wysiedliśmy obaj. Ja puściłem się w swoją drogę bez kapelusza, on przystanął i zapłacił dorożkarza....

Było to pierwsze nasze spotkanie. Od owego wieczora do dziś dnia mam jeszcze znak na szyi.

* * *

W kilka lat później, odbyłem małą wycieczkę od Niemiec; miałem właśnie jechać z Hamburga do Bremerhafen. Stawiłem się na dworcu dziesięć minut przed odejściem pociągu, miałem więc dość czasu. Przeszedłem cały pociąg, szukając dobrego miejsca i już znalazłem się niemal przed lokomotywą. Wtem jakiś mężczyzna daje mi znaki z okna wagonu i ku mojemu niezmiernemu zdziwieniu poznaję w nim mojego „dawnego znajomego“ z przejażdżki po Kopenhadze.

Mimowoli wzdrygnąłem się, doznałem dziwnie nieprzyjemnego wrażenie i minąłem jego przedział. Ale w drodze przyszło mi do głowy, że mogło to wyglądać na obawę a że czułem się o kilka lat starszy, tem bardziej nie chciałem okazywać trwogi wobec tego niezwykłego człowieka. Zawróciłem więc, udając ciągle zajętego szukaniem miejsca i niby przypadkiem zatrzymałem się przed jego przedziałem. Otworzyłem drzwi i wszedłem.

Przedział był pusty — prócz tego człowieka nie było w nim nikogo.

Przecisnąłem się tuż obok niego a on ściągnął kolana, aby mnie przepuścić; jednocześnie podniósł oczy, jak gdyby mnie nie widział przedtem, a ja przecież jestem pewny, że to on dawał mi znaki przed kilku minutami. Bezwiednie uchyliłem kapelusza, pozdrawiając go, ale on nie odpowiedział na mój ukłon.

Usiadłem w rogu. Zły byłem na siebie o ten ukłon, więc teraz chciałem okazać mu najwyszukańsze lekceważenie. Nie było na nim śladu lat przebytych, strój tylko zmienił. Pierwszym razem był ubrany pięknie, niemal z elegancyą, teraz suknie jego były o tyle skromniejsze, że miał na sobie zwykłe, jasne, grube odzienie podróżne. Skórzany kufer stał na siatce naprzeciw niego.

Zadzwoniono i pociąg ruszył.

(D. n.).

Przekł. *J. Klemensiewiczowej.*

państwo nowożytne, które od uniwersytetu domaga się w pierwszej linii dostarczenia urzędników uzdolnionych do wypełniania obowiązków służbowych, popierających świadomie cele państwowe, niektóre katedry, jak np. historyi, filozofii, ekonomii obsadza z wielką ostrożnością. Nieograniczona na pozór wolność nauki ma w uniwersytetach ciasne dosyć granice w prawie mianowania lub odrzucenia przez rząd, proponowanych przez senat akademicki, docentów.

Aż do czasów reformacyi stanowiły uniwersytety — zwłaszcza niemieckie — kooperacye duchowne i dlatego też wyjęte były z pod sądów świeckich. Student miał w razie ciężkiego nawet wykroczenia, sędziego we własnym profesorze — i to stanowiło najistotniejszą treść złotej wolności akademickiej. W czasach reformacyi, wraz z wejściem świeckiej nauki w mury uniwersyteckie, utraciły one swoją autonomię na rzecz panującego; a teraz wolność studencka to dźwięk pusty, mówiący chyba o wolności opuszczania wykładów i niezdawania na czas egzaminów.

I z całą swobodą sędziwy profesor rozwinął przed oczyma słuchaczów obraz sali uniwersyteckiej, pełnej w pierwszych tygodniach półrocza, pustej następnie czas długi, a rojnej znowu tuż przed odebraniem podpisu, mającego zaświadczyć o regularnem uczęszczaniu na wykłady. A potem — cicha walka między profesorem a słuchaczami, którzy mając podpis, przychodzenie na wykłady uważają za trud zbyteczny. Z obawy przed pustką w audytoryum, profesor kończy zazwyczaj wykłady jeszcze przed wyznaczonym terminem, a studenci znowu się wstecz cofają, przedłużając w nieskończoność i tak już długie wakacye. Możność składania egzaminów zależna jest od „obłożenia“ w ciągu danej ilości semestrów przepisanej liczby godzin, młodzież stosuje się do słów ustawy.

Słuchacze prof. Zieglera z wolności akademickiej nie skorzystali, słuchając do końca tygodnia (6 b. m.) mimo wabiącej ku spacerom pogody — a rzecz to w Salcburgu rzadka, więc cenna — z niegasnącą pilnością wykładów. A było ich jeszcze sporo — przygotowano bowiem dla uczestników kursów 8-godzinny dzień roboczy, łagodząc tę srogość możnością dowolnego wybierania profesorów. Pełne zawsze sale, entuzyastyczne oklaski świadczyły o pilności słuchaczy i o szczerem powodzeniu wolnościowego przedsięwzięcia, o którego dalszym przebiegu pomówimy w drugim liście. *H. G.*

Wakacye w Paryżu.

Kolonie wakacyjne dla dziatwy szkolnej. — Rozrywki dla dziatwy miejskiej. — Kolonie wakacyjne dla dorosłych. — Château du Peuple.

Pora wakacyjna zaczyna się we Francyi zaledwie z początkiem sierpnia i trwa do dnia 1-go października. Bezzwłocznie po rozdaniu nagród ci, których stać na to, opuszczają czemprędzej Paryż, aby odetchnąć ożywczem powietrzem pól i lasów, lub też morza. Na eleganckich plage'ach gromadzą się szumowiny społeczeństwa — przedstawiciele złotej młodzieży, damy wielkiego świata i półświatka, dorobkiewicze prągnący, aby się choć raz dowiedziano o ich bogactwie i wielcy macherzy przedsiębiorstw finansowo-przemysłowych. W małych, odludnych osadach nadmorskich, znanych pod ogólną nazwą „petits trous pas chers“ znaleźć można literatów, artystów i — sporą gromadkę dzieci.

Ileż jest jednak tej dziatwy, która murów miejskich opuścić nie może, bo jej do kolebki żadna wróżka nie opromieniła życia! Rodzinie pracującej wakacye przyczyniają jeszcze więcej kłopotów, bo przybywa dziecko, którego niepodobna dzień cały bez opieki na ulicy pozostawić. Dla zaradzenia temu szkoły miejskie Paryża po dwutygodniowej przerwie otwierają się znowu na cztery tygodnie, ale jakże to smutne dla dzieciaka, który nie może użyć, jak inni, wypoczynku, swobody, słońca i powietrza! Pozostaje jeszcze nadzieja wyjazdu do kolonij letnich, lecz i to marzenie trudne jest do urzeczywistnienia.

Kolonie letnie dla dziatwy szkolnej, zainicyowane w r. 1883, z każdem latem coraz więcej się rozwijają, zwłaszcza od czasu, gdy Rada miejska pozwoliła Kasom szkolnym zużytkować na ten cel fundusz, przeznaczony pierwotnie na wycieczki i podróże wakacyjne. Te ostatnie cieszyły się niegdyś wielkiem powodzeniem, tak np. w r. 1882 brało w nich udział 6,000 dzieci; ze względów jednak hygienicznych uznane zostały za nieodpowiednie dla dziatwy młodszej, zachowano je więc tylko dla starszych, dostatecznie silnych chłopców.

W roku zeszłym z kolonij wakacyjnych korzystało 5,329 dzieci, co stanowi nader małą cząstkę w porównaniu z ogólną liczbą 142,287 chłopców i dziewcząt, uczęszczających do miejskich szkół elementarnych, w wieku od 7 do 13 lat. Nie wchodzą tu w rachubę dzieci młodsze od 3—7 lat, uczące się w szkółkach zwanych écoles maternelles. Na owe kolonie wakacyjne Kasy szkolne dały w r. 1902 około 100,000 fr., a zapomoga miejska wynosiła 200,300 fr. Po za tem dzięki inicyatywie prywatnej wyjeżdża jeszcze z Paryża około 3,000 dzieci staraniem stowarzyszenia nauczycieli elementarnych, stowarzyszenia nauczycielek „écoles maternelles,“ oraz pięciu towarzystw filantropijnych, specyalnie w tym celu istniejących. W roku bieżącym dziennik *La Presse* zawezwał swych czytelników do składek i wysłał kilkaset dzieci na wieś i nad morze.

O dziatwie, pozostającej w porze wakacyjnej w mieście, pomyślał obecnie najmłodszy z radców miejskich, Fribourg, i zorganizował w XII okręgu paryskim stowarzyszenie, które zajęło się wykonaniem całego planu rozrywek, a więc: zwiedzanie muzeów, gmachów, wielkich fabryk podmiejskich itp. pod kierunkiem znanych artystów lub ludzi fachowo obznajmionych, wycieczki botaniczne i geologiczne, nadto gry i zabawy w lasku Vincennes, najbliżej XII okręgu położonym, wreszcie pogadanki ciekawe i pouczające, ilustrowane obrazami niknącymi. Opieki nad dziatwą podjęły się matki ze sfery pracującej całkiem bezinteresownie, artyści i literaci ofiarowali swój współudział dla zwiedzania muzeów i gmachów, a uniwersytety ludowe okazały gotowość użyczenia swych lokali na pogadanki. Słowem, dziatwa pozyskała rozrywki pożyteczne, kształcące, zdala jednak od tego wszystkiego, co przypomina rygor szkolny i lekcye; to też z pierwszych już wycieczek można było sądzić, jak ogromny jest zapał dziatwy. Matki zaś wywiązują się doskonale z podjętego obowiązku opieki, pomimo że nie posiadają dyplomu nauczycielskiego.

Że jednak nietylko dzieciom, ale i dorosłym należy się po całorocznej pracy wypoczynek choćby dwutygodniowy na świeżem powietrzu, przeto nie od rzeczy będzie wspomnieć tu o założonem w roku zeszłym stowarzyszeniu p. n. „La nature pour tous,“ mającem na celu ułatwienie ludności pracującej użycia wakacyj, które wywiązuje się ze swego zadania ku ogólnemu zadowoleniu. W tym roku powstało na ten sam wzór nowe stowarzyszenie p. n. „Le Rayon du Soleil“ i oba ściągnęły po 300 osób do urządzonych przez się sposobem kooperatywnym willegiatur. Opłata jest niebywale nizka, bo wynosi zaledwie 2 fr. 50 c. za pokój z całodziennem utrzymaniem, a obok tego są gromadne wycieczki i rozrywki codzienne, wynikające ze wspólnego pożycia. Niejeden fabrykant lub właściciel pracowni ze zdumieniem usłyszał od swej podwładnej żądanie 15-dniowego urlopu „dla zobaczenia morza“: aby urzeczywistnić to marzenie, niejedna szwaczka lub modystka urywała od swego skromnego zarobku i wytrwale składała przez cały rok po 1 fr. tygodniowo do kasy stowarzyszeni. Inicyatorzy tych willegiatur ludowych spodziewają się, że z każdym rokiem będzie wzrastała ilość pracowników i pracownic, mogących zeń korzystać, w miarę przyzwyczajania się pracodawców do dawania urlopów i zrozumienia ich potrzeby.

Dla tych zaś, którzy żadną miarą pozwolić sobie na wakacye, choćby jak najkrótsze, nie mogą, przybyła w tym roku instytucya całkiem nowego charakteru i niezmiernie godna poznania, a jest nią t. zw. „Château du Peuple,“ założony staraniem jednego z najstarszych i najlepiej zorganizowanych uniwersytetów ludowych w Paryżu, noszącego nazwę „La Coopération des Idées.“ Śmiałe przedsiewzięcie wynajęcia w lasku Bulońskim willi na użytek członków, opłacających zaledwie 1 fr. miesięcznie, wydawało się na razie szaleństwem, a jednak energia i zapał dokonały cudów. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazła się willa opuszczona przez klub automobilistów w uroczem otoczeniu zieleni i drzew. Organizatorzy potrafili z tego przybytku zblazowanych próżniaków stworzyć ognisko życia i szczerej wesołości, do jakiej zdolni są jedynie ci, którzy nie znają, co to nudy, bo na nie przy całodziennej, mozolnej pracy nie pozostaje im czasu. Już od samego wejścia doznaje się dziwnie miłego wrażenia, nikt tu nie pilnuje publiczności, nie spotyka się żadnych regulaminów lub przepisów, a jednak wzorowy porządek i ład panują wszędzie.

Pokoje na dole otrzymały swe przeznaczenie odpowiednio do sekcyj, jakie się w Uniwetsytecie ludowym utworzyły, a więc sekcya sztuki dramatycznej, sekcya muzyki, fotografii, ogrodnictwa, fechtunku, gry w szachy, sportów itp. Każdy nowo przybywający skierowywa się do sekcyi najbardziej dlań interesującej i, nie podlegając żadnym formalnościom przyjęcia, bierze natychmiast udział w zbiorowej czynności lub rozrywce. W największej sali mieści się bufet, gdzie można za nader małą opłatą znaleźć podwieczorek (25 centimów) lub obiad (1 fr.), ale trzeba sobie samemu usłużyć, tak jak to się robi u siebie w domu, bo organizacya „Château du Peuple“ opiera się właśnie na zasadzie „toute domesticité est suprimée,“ a każdy nowy członek z chwilą otrzymania swej karty wstępu dowiaduje się, że ciąży na nim obowiązek strzeżenia wspólnej własności i porządku, oraz pełnienia wszelkich usług, jakie w interesie dobra ogólnego okażą się potrzebne.

Pokoje na piętrze willi mają być na rok przyszły urządzone i wynajmowane za minimalną opłatą członkom Uniwersytetu ludowego, potrzebującym kilkodniowego wypoczynku na świeżem powietrzu. Używalność ich określono na tak krótko, aby tem samem umożebnić większej ilości członków korzystanie z pobytu na wsi, jak również aby służyła ona tym jedynie, którzy na dłuższą przerwę w pracy pozwolić sobie nie mogą. Każda niedziela ma inne przeznaczenie, pierwsza jest zabawą taneczną, druga poświęcona jest poezyi, trzecia — zabawom dziatwy, a czwarta — muzyce. Gwarno też tu co niedziela, dziatwa używa swobody w uroczym parku, a rodzice znajdują szlachetnę rozrywkę, słuchając muzyki, deklamacyi lub przedstawienia teatralnego. Niech jednak nikt nie sądzi, że karmią tę publiczność płaskiemi farsami lub pospolitymi wodewilami, gdyż na program przedstawienia składają się za-

wsze arcydzieła literatury dramatycznej zarówno dawnej, jak współczesnej. Aktorami są tak pracownicy najrozmaitszego fachu, jak i artyści z zawodu, nierzadko nawet pierwszorzędnej sławy, jako też uczniowie i uczennice konserwatoryum paryskiego. Ci fachowi artyści nie poczytują sobie za ujmę występować razem z amatorami ze sfery pracującej, nie zrażają się brakiem sceny, kurtyny i wszelkich akcesoryów teatralnych, rolę bowiem dekoracyj grają drzewa i krzaki, a widzowie zapełniaja szczelnie ławki z białego drzewa. Ale za to z jaką uwagą słucha ta publiczność wiersza deklamowanego lub produkcyi muzycznej, jak szczerze przejmuje się akcyą dramatyczną, jak gorąco odczuwa piękno artystyczne i jak pilnie doszukuje się głębszej myśli społecznej...

Iza Zielińska.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Smutny odwrót.

Zarząd Filharmonii zawiadomił, że ulegając „poważnym głosom," zrzekł się udziału w koncertach i uroczystościach berlińskich z powodu odsłonięcia pomnika Wagnera, a zarazem wyłożył pobudki, które go skłoniły do tego kroku. Otóż obecnie kilka pism (*Wędrowiec, Gazeta Polska, Kuryer Warsz.*) wytrzepało go niemiłosiernie po tych „pobudkach." Z ich wyjaśnień okazuje się, że nieprawdą jest, ażeby ktokolwiek z Polaków należał do komitetu organizacyjnego, a natomiast prawdą jest, że od owego obchodu cofnęła się nawet rodzina Wagnera, wielu znakomitych muzyków i instytucyj niemieckich, że uczyniły to „niemal wszystkie pierwszorzędne orkiestry," że „cała krytyka niemiecka i profesorowie niemal wszystkich konserwatoryów niemieckich urządzili kontrdemonstracyę" itd., czyli — że to, co miało być nadzwyczajnym zaszczytem dla orkiestry warszawskiej, było właściwie tylko poszycie niemieckiej dziury polską łatą. Sprawa więc wygląda teraz jeszcze gorzej, niż przedtem. Jak wiadomo, ci artyści i ich orędownicy, którzy wyrazu „sztuka" używają, jako zakąski po wódce i jako tajemniczego znaku, mieszczącego w sobie wszystkie zagadki życia, którym to słowo zastępuje wiedzę, moralność, cnoty obywatelskie i wypełnia przestrzeń po brzegi nieskończoności, gniewają się srodze, ile razy ktoś chce ich skrępować prawami i powinnościami, obowiązującemi innych ludzi. Mogą oni dla hakatystów, dla największych wrogów swego narodu grać, śpiewać, malować, rzeźbić — i to nic nie ubliża ich patryotycznemu honorowi. Bo „sztuka" — panie dobrodzieju— nie mieszka w jakimś kącie ziemi, lecz siedzi na całym globie i jeździ na nim około słońca. Pomimo jednakże tego przywileju wszechświatowości trzeba było mieć zbyt „sztuczne" zęby obywatelskie, ażeby nie rozgryźć nimi tak miękiego orzecha, jak zaproszenie przesłane do Filharmonii warszawskiej, ażeby jej orkiestra wystąpiła w uroczystościach berlińskich. Ten, kto owo zaproszenie przyjął, powinien sprawić sobie inny garnitur zębów, bo mogą się zdarzyć orzechy twardsze.

Albo koniec świata, albo?..

Zapisaliśmy niedawno, co prawomyślne gazety warszawskie ośmieliły się napisać przeciw „pachołkowi pruskiemu," kardynałowi Puzynie. Była to zuchwałość nadzwyczajna, ale przynajmniej dająca się wytłomaczyć grzesznością świeckiej mowy. Tymczasem posłuchajcie, co prawi dostojnikowi kościelnemu organ duchowny, *Przegląd Katolicki*:

„Nader drażliwą, bolesną, *haniebną* sprawą jest założenie przez Austryę *veta* przy konklawe... *Okropny* — nie wahamy się użyć tego wyrazu — okropny wprost jest sposób, w jaki fakt ten został dokonany. Nie chodzi oczywiście o osobę, przeciw której spełniono *nieprawne i świętokradzkie nadużycie*... Biskup katolicki i purpurat nie powinien był przykładać poświęconej dłoni do *bezbożnego dzieła*..."

Rozumiecie? Nie jakiś odszczepieniec, nie jakiś ojciec Jacek, ale rzetelny kardynał, biskup siedzący na stolicy krakowskiej, ks. Puzyna, stał się — według *Przeglądu Katolickiego* — bohaterem „haniebnej" sprawy, popełnił „nieprawne i świętokradzkie nadużycie," przyłożył „poświęconą dłoń do bezbożnego dzieła." Z dwojga jedno: albo wkrótce nastąpi koniec świata, albo *Prawda* i podobne jej głosy bluźniercze tak oddziałały na rzes. ę tercyarską, że jej organ ma już dziś odwagę krytykowania nawet purpuratów. Kto wie, czy on po fioletowej i czerwonej nie zabierze się do białej sutanny, a wtedy biedak spostrzeże, że ślina, którą ku nam niedawno wypluwał, pozostała na jego własnej brodzie.

Przeciągnięta struna.

P. Korfanty, uznawszy, że nie jest wcale gorszym od nowego „cesarza Sahary," który zapełnia szpalty pism całego świata swym bzikiem, dostarcza im również wiadomości o przebiegu sprawy swego ślubu kościelnego, którego mu duchowieństwo odmówiło. Apeluje on od jednej instancyi do drugiej, zewsząd otrzymując odmowy, które ogłasza w gazetach. Na nieszczęście w tej walce coraz bardziej kruszy mu się słuszność, z której wkrótce nic nie pozostanie. W Niemczech bowiem obowiązującym jest tylko ślub cywilny, który p. Korfanty zawarł i przezeń związek swój uprawnił, kościelny zaś jest dodatkiem, pozostawionym uznaniu małżonków, a wobec tego duchowieństwo może go odmawiać tym, którzy mu wypowiedzieli posłuszeństwo. Jeżeli tedy p. K. jest na tyle wolnomyślnym, że się zbuntował przeciw władzy kościelnej, to niechże teraz będzie równie wolnomyślnym, że się wyrzecze jej błogosławieństwa, zwłaszcza iż zupełnie zadośćuczynił zarówno swoim uczuciom religijnym, jak i zwyczajowi przez żądanie ceremonii, od której go odsunięto. Dalszem bojowaniem zawikła się on w coraz większe sprzeczności i obciąży podejrzeniem, że mu już nie chodzi o potrzebę sumienia, ale o jak najdłuższe utrzymanie się na wierzchu fal rozgłosu. Dziś on już gra na przeciągniętej strunie.

Wystawa galanteryjna.

Możemy nareszcie oglądać dawno zapowiadaną wystawę galanteryjną, która zupełnie słusznie budziła od samego początku niezwykłe zainteresowanie. I nic dziwnego, bo oto mieliśmy zdać przed samymi sobą egzamin z pewnego stopnia dojrzałości przemysłowej. Dzisiaj musimy przyznać, że egzamin ten wypadł częściowo dodatnio a mianowicie o tyle, że jakkolwiek wystawa uboga jest pod względem ilości wystawców, to jednak ci, którzy wystąpili ze swoimi wyrobami, uczynili nam prawdziwą niespodziankę.

Pomijamy wyroby jubilerskie, te bowiem od dawna chyba mają ustaloną markę i właściwie w zakres wyrobów galanteryjnych, ściśle biorąc, nie wchodzą. Ale zato na podkreślenie zasługują wyroby skórkowe, bronzowe i drzewne, które wyglądają wcale pokaźnie.

Chcąc jednak trzeba jeden nieprzyjemny objaw a mianowicie, że o ile wykonanie, a przypuśćmy i jakość materyału niewiele pozostawiają do życzenia, to co się tyczy pomysłów fabrykanci nasi nie pokazali nam nic nowego; są to wszystko ślepe naśladownictwa wzorów obcych, dostarczanych nam obficie przez zagranicę a zwłaszcza przez twórców tak zwanej secesyi, niewątpliwie rzeczy ładne, mogące zaspokoić nawet bardzo wybredne wymagania, ale nie posiadające najsłabszych cech rodzimości, skutkiem czego robią wrażenie wytworów obcego ducha, który z naszym gruntem nie ma nic zgoła wspólnego. I przychodzi nam na myśl, jak wiele dobrego mogą zdziałać dla naszego przemysłu ci, którzy krzątają się około założenia szkoły sztuk pięknych, zamierzającej zająć się głównie sztukę stosowaną do przemysłu. Obecnie trzeba naszym przemysłowcom dać jedynie dobre wzory swojskie, a właściwie nauczyć ich komponowania takich wzorów, abyśmy mogli wytworzyć zupełnie samodzielny przemysł galanteryjny.

Zdolności wykonania, lekkości ręki, dokładności i staranności nie brakuje nam już dzisiaj, a wszakże to bardzo ważny warunek przemysłu galanteryjnego; trzeba jeszcze, żeby te zalety obecne były wszędzie i zawsze, nietylko na wystawie. Jest to warunek konieczny dla zdobycia i utrzymania zaufania; tylko bowiem w takim razie prasa może nawoływać czytelników do popierania swoich i do zrywania z przemysłem obcym. Wystawa, którąby była nie popisem, lecz pokazem zwyczajnych wyrobów, zawsze na składzie utrzymywanych, miałaby znaczenie daleko większe. Obecna daje nam możność policzenia się z własnemi siłami i sposobność przekonania się, że w wielu razach bez zagranicy obyć się nie byłoby trudno. Ta świadomość niechby pomogła do wyrugowania szkaradnego, niestety, z winy publiczności zakorzenionego zwyczaju zaopatrywania wyrobów krajowych markami zagranicznemi w celu zyskania dla nich zbytu. Fakt ten smutnie świadczy o naszem poczuciu i godności narodowej. Przypomina grymaśne dzieci, które wybiegami ujmować sobie trzeba.

Potrzeba naprawy.

Małe krzywdy, powtarzające się codzień, nigdy nie robią tego wrażenia, co wielka krzywda, która różni się od nich tylko ilościowo, a nie jakościowo. Wszak wiemy wszyscy, to jest wszyscy zastanawiający się, że los kelnera warszawskiego jest w całem tego słowa znaczeniu „psi"; odczuwają to wybornie zarówno sami kelnerzy, jak i wszyscy ludzie na upośledzenie bliźniego wrażliwi. A mimo to ani pierwsi nie dążą stale do radykalnej poprawy swego losu, ani drudzy nie zaprzątają sobie głowy sposobami zaradzenia tej pilnej potrzebie.

Niedawno kelnerzy z „Renaissance'u" zostali skrzywdzeni w sposób bardzo bolesny przez jakąś niczem nieuzasadnioną wzmiankę dziennikarską, uczynioną widocznie przez człowieka nieuczciwego; poskarżyli się w redakcyi *Wieku*, który dał im zadośćuczynienie, na jakie stać pismo, i na tem bodaj rzecz się skończyła, jakkolwiek powinna była przecież stać się podnietą do postawienia jakiegoś stanowczego kroku na drodze do poprawy nienormalnych a zarazem i niemoralnych stosunków.

Przy dzisiejszych demokratycznych pojęciach nie powinien istnieć zawód, do którego byłaby przywiązana powszechna i, niestety, zasłużona pogarda. Dlaczego powiadam zasłużona? Czyżby w pracy kelnera było coś poniżającego? Bynajmniej! Nie będziemy twierdzili, że każda praca uszlachetnia, jest to bowiem komunał z czasów haseł pracy organicznej, który nigdy nie miał podstawy, a dziś już zwietrzał zupełnie, ale też żadna rzeczywista i rzetelna praca nie poniża, nie hańbi i nie plami! Zatem o co chodzi? Oczywiście o warunki, w których możnaby spełniać daną pracę bez poniżania się. Bez względu na to, w ja-

ki sposób człowiek na chleb zarabia, byle zarabiał uczciwie, nie powinien tracić godności ludzkiej, lecz pozostawać obywatelem, świadomym swego człowieczeństwa. Tymczasem, niestety, o kelnerach warszawskich tego wcale powiedzieć nie można, ponieważ wskutek bardzo złego zwyczaju zostają oni w stosunku czysto osobistym do każdego gościa, który raczy kawiarnię, cukiernię lub restauracyę odwiedzić. Zachodzi pytanie, dlaczego w żadnym zawodzie niema tego zwyczaju, aby ludzi zatrudnionych w danym zakładzie, za otrzymane usługi pieniężnie wynagradzać? Gdy przychodzę do magazynu, nie uważam za stosowne wsuwać w rękę sprzedającemu kilku kopiejek za to, że mnie obsłużył, ani też on ode mnie podobnego uznania swoich usług się nie spodziewa. Wszelką propozycyę „napiwku“ ze strony kupującego uważanoby za obrazę, bo każdy tu jest płacony przez właściciela zakładu, a zapłata wlicza się do ceny towarów i nie zależy wcale od uznania i dobrej woli kupującego. W ten sposób pracownicy handlowi mają jednego pana, a nie setki i tysiące panów, jak kelnerzy. Skutek tego jest bardzo dobry: nabywca widzi przed sobą człowieka, prawda, zobowiązanego względem niego do uprzejmości i grzeczności, lecz niemającego pobudki osobistej do uniżoności i służalstwa w nadziei otrzymania od „jasnego pana“ dodatkowego uznania swych usług; z drugiej zaś strony sprzedający wie, że gięciem się w pas, nadskakiwaniem i schlebianiem próżności niczego nie osiągnie, prócz utraty własnej godności.

System napiwków może być wygodny dla właścicieli lokalów publicznych, ponieważ uwalnia ich od opłacania służby i przesuwa ten ciężar na klientelę, lecz jest on połączony z takiem poniżeniem ludzi zupełnie uczciwych i pożytecznych, że tutaj jak i w innych razach względy zysku materyalnego jednej klasy powinny i muszą ustąpić wobec stanowiska moralnego i społecznego drugiej.

Z jednej strony kelnerzy, a z drugiej publiczność powinna się stanowczo domagać zmiany tych niezdrowych, nieetycznych i wysoce niespołecznych stosunków, dążyć do stanowczego usunięcia panującego zwyczaju, wprowadzenia systemu wynagradzania służby przez pracodawcę, jak się to dzieje we wszystkich innych zawodach. Gdy to nastąpi, kelner nie będzie stosował systemu różniczkowego do gości przez zbytnią uniżoność dla jednych, a nieraz nawet niegrzeczność dla drugich; gość zaś wobec zmiany stosunku osobistego do usługującego mu człowieka nie będzie tak swobodnym w okazywaniu mu swego lekceważenia.

Oczywiście zastrzedz należy, że nawet po zniesieniu dzisiejszego niemoralnego systemu kelnerzy mogą być narażeni na przykrość ze strony gościa, jeżeli obowiązki swoje będą pełnili tak opieszale, jak się to dzieje obecnie. Każdy może się przekonać, jak oni nieraz doświadczają cierpliwości gościa. Niekulturalność naszej służby restauracyjnej i kawiarnianej jest wprost zdumiewająca; prostactwo tak ogólne, że grzeczne słowo zupełnie na nich nie działa, tylko grubiaństwo odnosi natychmiastowy skutek. Tego się nie widzi u kelnerów zagranicznych, ale też i chlebodawcy ich za granicą są inni, czulsi na wymagania swej klienteli, a więc baczniejsi na postępowanie służby.

Drożyzna mięsa.

Słyszymy ciągle skargi na coraz większą drożyznę mięsa w Warszawie. Obszerne wywiady, w tym kierunku przedsiebrane, wykazały rzecz bardzo zwykłą i zawsze się powtarzającą a mianowicie: wyzysk pośrednika, układającego warunki handlu bydłem tak, by sam jak najwięcej zarobił.

Nie można się temu wcale dziwić, boć ludzie są ludźmi i wyzysk jednych przez drugich będzie dopóty się powtarzał, dopóki znajdą się tacy, którzy wyzyskiwać się pozwolą. Rzeczą konsumenta jest skuteczna walka z pasożytem i całkowite usamowolnienie się od wyzyskiwaczy. Tutaj jak i zawsze jedynym ratunkiem jest umiejętna organizacya, jakkolwiek przyznać należy, że i pomoc władzy jest niezbędna. Nie ulega zaś wątpliwości, że władza miejska, od której to w znacznej mierze zależy, stanie po stronie wyzyskiwanego konsumenta, przeto poprawa stosunków głównie od nas samych zależy. Trzeba uświadomić sobie dla czego jest źle, potem rozstrzygnąć pytanie, na jakiej drodze dążyć do poprawy stosunków a w końcu trzeba koniecznie zorganizować się i przeciwko falandze monopolistów oraz pośredników postawić falangę spożywców, zjednoczonych w celu stworzenia korzystnych dla siebie warunków rynku. Na całym świecie sprawę wypieku chleba i dostarczania taniego a zdrowego mięsa biorą na siebie ogólne lub specyalne towarzystwa kooperatywne. U nas należałoby wejść na te samą, gdzieindziej już wypróbowaną drogę i postarać się o zorganizowanie trzech rzeczy a mianowicie handlu węglem, mięsem i pieczywem. Handel tymi podstawowymi artykułami należy ująć we własne ręce i uwolnić się od pośrednictwa, a w ten sposób usunie się wszelki wyzysk. Tą sprawą powinna się zająć powołana do życia komisya współdzielcza; oddałaby tem ogromną usługę społeczeństwu i zyskała od razu jego zaufanie dla siebie.



BADANIA NAUKOWE.

Jedność materyi.

Pojęcie pierwiastku, tak jak je chemia obecnie jeszcze rozumie, spotykamy po raz pierwszy u Boyle'a około roku 1661. Ma to być ciało proste, niezłożone, którego nawet najbardziej intensywnemi czynnikami energietycznymi nie udałoby się rozdzielić na dwie inne substancye. W pojęciu pierwiastku tkwi inna jeszcze zasada, mocą której nie dają się one wzajemnie na siebie zamieniać, są więc jakoby rodzajami materyi, podobnie jak ciepło, elektryczność, energia mechaniczna są rodzajami energii; z tą jednak tylko różnicą, że te ostatnie mogą wzajemnie na siebie przekształcać się, znikają i powstają na nowo, dając wrażenie jednej i tej samej energii bezpostaciowej, przybierającej inną tylko szatę, inny kształt zewnętrzny. Nie tak jest jednak z pierwiastkami, mimo usilnych niegdyś starań alchemików, ażeby metale przekształcić w złoto, mimo bardzo wielu wysiłków późniejszych, opierały się one stale pokusom, a choć w historyi chemii nie brak przykładów, że badaczom udawało się nieraz rozłożyć to lub owo ciało, uważane za pierwiastek, było to jednak zwycięstwo tylko pozorne; mniemany pierwiastek okazywał się ciałem złożonem. Jako przykład wspomnę sto lat temu dokonany przez Davygo rozkład wodzianów alkalicznych, zaliczanych przedtem do pierwiastków.

Teraźniejsza chemia poucza nas, że we wszechświecie istnieje około 80 ciał prostych, tych rodzajów materyi, z których przez połączenie wzajemne powstawać mają wszystkie znane nam twory organiczne i nieorganiczne. Lecz dlaczego nie więcej, niż 80 lub nie jeden, ten jedyny rodzaj materyi—pramaterya, a z niej, niby ze wspólnego zbiorowiska wypływające strumyki, strumienie i rzeki pierwiastków poszczególnych? Na to chemia dawała zwykle odpowiedź wymijającą; samaco prawda wychodziła z zasady przeciwnej, z zasady niezniszczalności pierwiastków poszczególnych. Lecz mimo to już ma ona dawno ukrytą chęć rozstrzygnięcia tego pytania, a nawet w ubiegłym wieku spotykamy niemało poglądów a raczej marzeń o jedności materyi. Dopiera badania ostatnich lat kilkunastu, których koroną stanowiło odkrycie pierwiastku radu przez p. Skłodowską Curie, doprowadziły wreszcie do zapatrywań jednolitych, dających możność rozwiązania dręczącego od tak dawna naukę pytania o wspólnem pochodzeniu ciał prostych.

Pierwsze przebłyski, pierwsze marzenia o tem — jak czytamy na początku odczytu „Poglądy nowoczesne na materye,“ wygłoszonego przez Crookesa podczas V zjazdu międzynarodowego ludzi, pracujących nad chemią stosowaną — były udziałem Anglików. W roku 1809 Humphrey Davy wygłosił zdanie, że musi istnieć substancya wspólna wszystkim metalom; co stwierdzone przez fakty, stworzyłoby filozofię przyrody całkiem nową a zarazem prostą i potężną. „Nie można, pisał on później, rzeczy tej uważać za niepodobną, choć ona nie jest jeszcze urzeczywistniona; nie można uważać jej za niedorzeczność pomimo, że nie zgadza się z poglądem ogółu. Badanie nad tym przedmiotem winno być prawdziwą nauką przyrody.“ To co Davy mówił o metalach, inny Anglik Faraday, umysł genialny, znany ze swej oryginalności i śmiałości poglądów, rozpostarł na wszystkie ciała proste, domagające się jednocześnie od chemii rozstrzygnięcia pytania co do jedności materyi.

Przez długie później lata panował w chemii inny nastrój, który nie dozwalał na podobne spekulacye; nawiasem wspomnieć tylko można o hipotezie Prouta w r. 1815, który pojmował pierwiastki, jako stopnie kondensacyi wodoru; mimo swej prostoty hipoteza Prouta nie utrzymała się wobec niezmiernie ścisłych badań Stasa.

Tak było do r. 1879, kiedy Crookes postanowił wskrzesić porzuconą przez chemię ideę pramateryi. W owe czasy, jak i w całem stuleciu zeszłem, panowało potężne zresztą w swych skutkach założenie, że dla oka niewidzialne ostatnie cząstki materyi, tak zwane atomy, są istotami niepodzielnemi, choć mają pewne wymiary i zajmują pewną, niewymownie drobną część przestrzeni. Tyle ma być rodzajów atomów, ile jest pierwiastków, a od jakości atomów, sposobu wzajemnego ich złączenia i ugrupowania zależą własności oraz stan ciał. Przez długi czas nikt nie pomyślał nawet o czemś mniejszem od atomu, który uważano za granicę rozdrobnienia materyi. Aż wreszcie Crookes w roku wspomnianym ogłosił swoje poglądy na zjawiska, zachodzące w tak zwanych obecnie rurkach Crookesa.

Są one szklane, silnie wypompowane, z wtopionymi w nie drucikami metalowymi; po złączeniu tych ostatnich z biegunami elektrycznymi i puszczeniu prądu, ukazuje się wewnątrz rurki obok drucika, stanowiącego biegun odjemny, czyli katodę, niebieskie światło, które w rurkach o niezwykle silnem rozrzedzeniu, rozszerza się, zajmuje prawie całe wnętrze rurki, lecz jednocześnie traci znacznie na blasku. Badania Hittorfa i Goldstanda wykazały, że mamy tu do czynienia ze szczególnego rodzaju promieniowaniem, wypływającem z katody i rozchodzącem się wewnątrz rurki po liniach prostych; nazwano je promieniami katodalnymi! Otóż Crookes na zasadzie doświadczeń doszedł do wniosku oryginalnego, że promienie katodalne są cząsteczkami, wyrzuconemi przez katodę, nie-

mającemi jednak charakteru stanu stałego, ani ciekłego, ani gazowego; nie są to już atomy, lecz coś od nich mniejszego, jakieś cząstki pozaatomowe, z których się tworzą atomy.

Ten stan materyi nazwał Crookes materyą promienistą, lub czwartym stanem materyi. Później dowiódł on, że własności fizyczne materyi promienistej nie zależą od substancyi, zawartej w rurkach; czy ta ostatnia będzie wodorem, dwutlenkiem węgla lub powietrzem, zawsze objawy fosforescencyi, cienia, zboczenia magnetycznego itp. okażą się identyczne.

Wieszczym duchem przejęty ten poeta i mistyk przewidział, co później z tryumfem wprowadzono do nauki. Szeroka fantazya uniosła go nawet dalej, bo w 1888 r. postawił, na zasadzie swych poglądów o cząsteczkach pozaatomowych, hipotezę powstawania elementów z „nieskończonej ilości cząsteczek ostatecznych, a raczej najostateczniejszych, niezmiernie małych i poruszających się z szybkością niepojętą we wszystkich możliwych kierunkach.“ Przez stopniowe zgęszczenie tej „mgły bezpostaciowej,“ tego ostatecznego rozdrobnienia materyi, tworzyć się ongi miały atomy; a zależnie od stopnia zgęszczenia powstały atomy pierwiastków poszczególnych. Tak samo znów, jak powstały atomy, uledz one mogą z powrotem częściowemu lub całkowitemu zniszczeniu, dzieląc ze wszystkimi tworami we wszechświecie los znikomości i śmierci.

Według tej hipotezy ostać się mogły jedynie atomy, które miały, tak jak w hipotezie Darwina, więcej widoków powodzenia w walce o byt, które więc były bardziej trwałe. Atomy o mniejszym ciężarze atomowym musiały się pierwej wytworzyć, a dopiero w końcu powstały tak ciężkie, jak atomy toru i uranu. A co będzie z atomami jeszcze cięższymi? One, według Crookesa, w warunkach cieplnych ziemi ostać się nie będą mogły i muszą ulegać dysocyacyi stopniowej na cząstki pramateryi, jeżeli już jej nie uległy całkowicie.

Początkowo na marzenia Crookesa, boć wtedy rzeczywiście były one tylko fantazyami genialnemi, odpowiedziano, zwłaszcza u Niemców, wzruszeniem ramion. Dziwactwa, mówiono, sny fantasty, nigdy niedające się sprawdzić. A oto ten fantasta, ten marzyciel przepowiedział fakty, jakie później nauka stwierdziła: sen jego się spełnił; odkryty lat temu kilka przez p. Skłodowską-Curie pierwiastek, rad, którego ciężar atomowy wyższy jest od ciężaru atomu uranu, dysocyuje rzeczywiście i z własnego popędu.

I oto teraz przed V-ym kongresem międzynarodowym ten starzec duchem potężny, przyszedł przypomnieć światu swe dawne teorye i jednocześnie stwierdzić, że nie powinno się było cofać przed wejściem do tego przybytku tajemniczego, choć na nim stał wtedy napis: „nieznane i niepoznawalne.“

W roku 1896 Becquerel, prowadząc badania nad fosforescencyą, zauważył, że sole uranu wysyłają stale promienie, które mają szczególną własność przenikania substancyj nieprzezroczystych, działania na płytę fotograficzną w ciemności i wyładowywania przedmiotu naelektryzowanego. Nie mają one przytem żadnego podobieństwa ani do promieni świetlnych, ani do promieni Roentgena. Nazwano je promieniami Becquerela. Dalsze badania p. Skłodowskiej Curie nad rudą uranową doprowadziły do wykrycia w tej ostatniej pewnych części składowych, które promieniowały 500,000 razy silniej niż sole uranu. Dzięki wytrwałej i niezmordowanej pracy po drodze, najeżonej ogromnemi trudnościami, udało się p. S. C. wydzielić z rudy uranowej pierwiastek nowy, wywołujący promieniowanie silniejsze. Jest to pierwiastek rad, nazwany od własności swej promieniowania. Żadne chyba inne odkrycie, mówi Crookes w swym odczycie, w czasach ostatnich nie obejmowało takich szerokich horyzontów i nie rzuciło tyle światła na objawy, dotychczas niewytłomaczone, jak odkrycie radu. Wkrótce zapoznano się z całym szeregiem substancyj radioczynnych, lecz nie stwierdzono dotąd w nich pierwiastkowej natury.

Rad wysyła trojakiego rodzaju promieniowanie: pierwszy jest, jak się to później okazało, identyczny z promieniami katodalnymi; łatwość zbadania sprawiła, że poznano go bliżej; stwierdzono mianowicie, że tak samo, jak promienie katodalne, zmienia swój kierunek pod wpływem magnesu; przekonano się, że właściwie składa się z cząsteczek wyrzucanych przez rad, a każda taka cząsteczka naładowana jest elektrycznością odjemną; wyliczono nawet masę podobnej cząsteczki i znaleziono, że równa się ona w przybliżeniu $^1/_{700}$ atomu wodoru. Szybkość jej biegu jest niezmierna, bo około $^1/_{10}$ szybkości światła. Takie same wyliczenia dla promieni katodalnych, wykazały zgodność zupełną z powyżej przytoczonemi, co dowodzi jednakowego pochodzenia tych promieni. Owe cząsteczki choć małą posiadają masę, jednak z powodu swej olbrzymiej szybkości uderzając, są w stanie podobnie, jak kula armatnia, natrafiająca na opór, wywołać zaburzenia miejscowe i spowodować powstanie promieni świetlnych np. fosforescencyę platynocyanku baru, lub promieni Roentgena w ściankach rurki Crookesa. Ich ładunek elektryczny jest nieodłączny i uważać go można za najmniejszą, samodzielnie istniejącą ilość elektryczności, za pewien atom elektryczny. Ta właśnie naelektryzowana cząsteczka, nazwana elektronem, stała się fundamentem, na którym zbudowano nietylko gmach naszych poglądów obecnych na materyę, lecz i na elektryczność. Przenoszenie się elektryczności odjemnej to bieg elektronów; a gdy przyłączą się które z nich do atomu obojętnego, ten ostatni ładuje się przez to odjemnie.

Gdybyśmy dla porównania chcieli przedstawić jeden atom wodoru w postaci kościoła o rozmiarach zwykłych, to elektrony, których idzie 700 na jeden atom wodoru, przedstawićby należało jako 700 ziarenek piasku, przebiegających we wszystkich kierunkach przestrzeń wewnątrz kościoła.

Drugi rodzaj promieniowania, wydzielanego przez rad, to są cząstki ciężkie, które odchylają kierunek swej drogi tylko pod wpływem bardzo silnych magnesów i w stronę przeciwną, niż u elektronów; są one zatem naładowane przeciwnie, w porównaniu z elektronami, a więc dodatnio. Z powodu swej dużej masy przenikają one z trudnością powietrze, w czem różnią się znacznie od drobnych i bardzo przenikliwych elektronów. Nazwane one zostały jonami dodatnimi; uważać je można jako pozostałości po atomie radu, kiedy z niego ustąpiła część elektronów.

Wreszcie trzeci rodzaj promieniowania, to są promienie Roentgena — drgania eteru, wytworzone, jako zjawisko uboczne, przez raptowne zatrzymanie elektronu w biegu, wskutek zetknięcia się z ciałem stałem.

Jeżeli teraz powiemy, że ciężar atomu radu waży 258, a ciężar atomu uranu tylko ko 238,5, to zrozumiałemi się staną myśli, wyrażone niegdyś przez Crookesa; atom radu dysocyuje wciąż bez przerwy, bez zatrzymania, bez ustanku. Ta dysocyacya jednak postępuje niezmiernie powoli, gdyż, jak to Becquerel wyliczył, jeden centymetr kwadratowy preparatu radowego mógłby wypromieniować w przestrzeń przez wysyłanie elektronów i jonów dodatnich zaledwie 1 gram w ciągu miliarda lat. Nic też dziwnego, że preparaty radowe w czasach, w jakich prowadzimy nad nimi doświadczenia, nie mogą stracić tyle na swym ciężarze, byśmy tę różnicę byli w stanie wykryć na wadze.

Nie wspominaliśmy nic o elektronie dodatnim, przeciwnym do elektronu odjemnego. Elektronu dodatniego nie znamy jednak wcale. Być może, że jest zawarty w owym jonie dodatnim, w tej masie pozostałej po usunięciu elektronu odjemnego i posiadającego nadmiar elektronu dodatniego. Być może natomiast, że w myśl unitarnego poglądu na elektryczność, jest tylko jeden elektron odjemny, który składa się na atom pierwiastku i po którego częściowem usunięciu okazuje się brak elektryczności odjemnej, co może być objawem elektryczności dodatniej? Na to nauka obecnie nie daje jeszcze odpowiedzi.

A więc elektron staje się tym atomem elektrycznym, rzuconym w przestrzeń — tym czwartym stanem materyi — tym satelitą Kelvina — korpuskułą Thomsona — ostatnią cząstką niezależną od pierwiastku, jednakową we wszystkich ciałach; pramateryą, ową „mgłą bezpostaciową,“ z której pierwiastki, a z nich ciała powstały.

Własność dysocyacyi atomów zdaje się być, niestety, własnością ogólną, wspólną wszystkim atomom, tylko w stopniu o wiele słabszym, niż ją okazuje atom radu. Czy w płomieniu, czy pod wpływem promieni słońca, czy w kropli deszczu spadającego, czy podczas pocierania jedwabiem o szkło — wszędzie powstają elektrony, wszędzie atomy ulegają rozkładowi.

Jesteśmy na drodze do wielkich odkryć i głęboko sięgających rewolucyj w poglądzie na przyrodę!

Kazimierz Jabłczyński.

SPOSTRZEŻENIA
nad najnowszą historyografią polską.

II.

Jeszcze o prawdzie w badaniach historycznych
Prof. Szymona Askenazego.

(Ciąg dalszy).

Nie zamilczę (jak to czyni p. Askenazy) o uchybieniu, jakiego się dopuściłem.

P. Askenazy, streszczając w *Odgłosach Targowicy* list króla do Potockiego (z 25 sierpnia) o dokonaniu drugiego akcesu, wyraził się tak:

Donosił (król Potockiemu), że rozkazał już gwardyom złożyć przysięgę na wierność Targowicy.

Ja na to w swej krytyce:

Nie wierzę, żeby król donosił Szczęsnemu, „że rozkazał już gwardyom złożyć przysięgę na wierność Targowicy.“ Nie wierzę dlatego etc.

Nie dość na tem: w dalszym ciągu swej krytyki powiedziałem: „jestem pewny, że (p. Askenazy) samego listu (z 25, czy błędnie z 26 sierpnia) nie widział.“

P. Askenazy składa w redakcyi *Kwartalnika historycznego* niezaprzeczonej wiarogodności przekład francuski listu króla do Potockiego z 25 sierpnia*). Wina moja polega na tem, żem powiedział: p. Askenazy listu tego „nie widział.“ A on go widział! Dlaczegom dopuścił się takiej zdrożności? Oto dlatego, żem nie mógł uwierzyć, żeby król w tym liście donosił Szczęsnemu, że „*rozkazał* już gwardyom złożyć przysięgę na wierność Targowicy.“ I miałem racyę: w przedstawionym przez prof. Askenazego dokumencie francuskim jest mowa o tem, że gwardye *przysięgły* (Les Gardes viennent

*) Tu znowu retradukcya, lecz dopuszczalna, albowiem listu tego w tekście oryginalnym, polskim, nie znamy.

de prêter serment d'après la formule prescrite pour le reste des Troupes) na rozkaz Targowicy, a nie że im *król przysiądz kazał*. Mniemałem, że gdyby p. Askenazy dokument *widział*, przedstawiłby treść jego rzetelnie. Mając uzasadnione powody do powątpiewania o treści listu, podanej w *Odgłosach Targowicy*, odważyłem się powiedzieć, że p. Askenazy dokumentu nie widział. Ale i drugą znajduję dla się okoliczność łagodzącą. Oto p. Askenazy pisze w swej rozprawce o wielu dokumentach, których najoczywiściej nie widział. Nie znał listu Potockiego do króla z 2 sierpnia, choć się o nim rozwodził. Nie czytał uniwersału z 11 o gotowości do pospolitego ruszenia, z 22 lutego o spokojności publicznej. Nie widział (co przyznał milcząco) listów Bułhakowa do Potockiego z 25 i 27 sierpnia, choć je cytuje. Mając tyle niewątpliwych danych, dotyczących metody badań p. Askenazego w zakresie nowożytnodziejowym, pozwoliłem sobie powiedzieć: „jestem pewny, że listu (z 25 sierpnia) nie widział“ A on go widział! P. Askenazy szeroko rozpisuje się z tego powodu o smutnych skutkach „krytyki... w formie negatywnej...“ W danym wypadku niema nad czem ubolewać, albowiem moja krytyka negatywna, której nietyle chodziło o to, czy p. Askenazy list widział, lecz czy podał rzetelnie jego treść — okazała się najzupełniej trafną. Źródłem negacyi było wyrażenie p. Askenazego, że król „rozkazał gwardyom złożyć przysięgę na wierność Targowicy.“ Znający jako tako historyę konfederacyi targowickiej nie mógł uwierzyć, żeby król w liście do marszałka pomieścił tego rodzaju absurd. Jakoż niema go w omawianym liście. Stwierdziła to właśnie moja krytyka negatywna *). Nie przeszkadza to jednak p. Askenazemu twierdzić, że „w danym wypadku wziął dobrowolnie na siebie ciężar pozytywnego dowodu prawdy.“ Jakiż to złożył dowód i jakiej prawdy? Złożył przekład francuski listu, który właśnie stwierdza nieprawdę p. Askenazego, niema w nim bowiem wyrażenia, że „król rozkazał gwardyom złożyć przysięgę.“ Wyrażenie to jest fikcyą! Przy tej sposobności p. Askenazy wymyślił dogmat treści następującej:

> Pozytywnie jak najostrzej sprawdzać, rewidować, kontrolować — zawsze; negatywnie posądzać — nigdy, takie jest w tej dziedzinie obowiązujące, elementarne wskazanie surowej krytyki naukowej.

Od ogłaszania tego rodzaju „obowiązujących (!) wskazań“ powinna była powstrzymać p. Askenazego dana mu przeze mnie lekcya niezdrowej krytyki negatywnej.

Domyśliłbym się pewnie, dlaczego p. Askenazy zamilczał o pochodzeniu listów, które wydrukował w dodatkach do *Odgłosów Targowicy*, gdyby metody skąpienia informacyj tego rodzaju nie stosował w swych pismach prawie zawsze a bez potrzeby. Mógłbym wykazać cały szereg dokumentów, zaczerpniętych przez p. Askenazego z muzeum książąt Czartoryskich, z biblioteki jagiellońskiej itp.—bez wzmianki o ich pochodzeniu. Jest to metoda zła, uniemożliwia bowiem kontrolę, niezbędną w interesie prawdy. Jak ta kontrola jest potrzebna, najlepszym dowodem wykazane przeze mnie uchybienia, popełnione przez p. Askenazego: podanie listów bez miejsca datowania i bez roku, oraz opuszczenia w tekście. Ale p. Askenazy i w tym wypadku nie uznaje słuszności zarzutów.

Nie żądam, jak twierdzi p. Askenazy, *powtarzania* roku przy dacie, skoro *wszystkie* listy Potockiego do Sieversa i list królewski do imperatorowej oznaczone są tylko dniem i miesiącem. Na uwagę, że godziłoby się zaznaczyć pomyłkę w datowaniu listu choćby dla charakterystyki roztargnienia Szczęsnego, p. Askenazy takim zabłysnął dowcipem:

> Dziwne życzenie, prawda? Lecz cóż powiedzieć na to, że w rzeczywistości cały ten list *wraz* z ową „charakterystyczną, mylną datą pisany jest ręką sekretarza, a tylko sam podpis położony przez Potockiego. Chyba więc chodzi o „charakterystykę roztargnienia“ owego sekretarza? A może raczej „roztargnienia“ krytyka?

Więcej niż koncept p. Askenazego wartąby była wiadomość o roztargnieniu owego sekretarza. Ale gdzie dowód, że błąd w datowaniu popełnił sekretarz? Czy kaligraf listu nie przepisał tego, co wyszło z pod pióra Szczęsnego? A, zresztą, czy Potocki, który list podpisał, nie odpowiada za jego datę?

Wskazałem *dwa* listy z opuszczeniami, popełnionemi w pośpiechu. Na to, p. Askenazy:

> *W jednym* liście Potockiego, ogłoszonym przeze mnie, dostrzegł krytyk opuszczonych kilka wyrazów, absolutnie bez żadnego znaczenia i stąd wywnioskował, że „prof. A. kopiuje dokumenty nieuważnie...“

Nie *w jednym* dostrzegłem opuszczenia, lecz w wielu; wskazałem je zaś *w dwóch*. Czemuż p. Askenazy zamilczał, że w jednym z nich dopuścił się opuszczenia rzeczowego (*et de Prot Potocki*) i niewątpliwie ważnego?

Na zarzut, że opuszczeń tekstu nie zaznaczył choćby kropkowaniem, powiada:

> Każdy, kto zajrzy do mej książki, dostrzeże kropkowania tamże str... Choć oczywiście gdzieindziej mogły kropki wypaść z winy mojej lub zecera.

A! więc p. Askenazemu wypadają kropki... A gdzie podziały się miejsca puste po nich?

Wbrew uczonym wywodom p. Askenazego deklaracya o wkroczeniu wojsk pruskich do rzeczypospolitej nie przestanie nazywać się z 16 stycznia, w tym dniu bowiem została ministrom polskim doręczona.

P. Askenazy nie ustępuje nawet w takiej kwestyi, jak data odezwy Potockiego do wojsk. Na moję uwagę, że ta odezwa datowana jest nie 1 stycznia 1793, lecz 29 grudnia 1792 r. — powiada:

> Jest to wszak „Odezwa do wojsk Rzplitej *przy zaczynającym się roku.*“

I to ma usprawiedliwiać pomyłkę w datowaniu! Zarzuty tego rodzaju wydają się p. Askenazemu „wprost bezprzedmiotowe„!

Jest pomiędzy argumentami i ten, prawdziwie imponujący, że p. Askenazy pracował w archiwach państwowych „za jednym stołem z najpierwszymi historykami tej doby.“ Pracując z takimi mężami, przekonał się „naocznie,“ że dokumentów nie trzeba kollacyonować. Wolno więc przepisywać je nieuważnie i ogłaszać z błędami!..

Wyznanie wprost nieprawdopodobne, a jednak najzupełniej autentyczne!.

Winienem w końcu wyznać, że w jednej kwestyi p. Askenazy mnie przekonał. List Potockiego do króla, ogłoszony przez Popiela, jest bez daty. Przyznaję to najchętniej, skoro p. Askenazy sprawdził, że datę „ze stycznia 1792“ dopisał wydawca.

* * *

Odgłosy Targowicy są w historyografii polskiej zjawiskiem fenomenalnem. Gdyby kto chciał wprost dla mistyfikacyi stworzyć rzecz historyczną, złą, nie mógłby wymyślić błędów i tylu i tak potwornych, jak p. Askenazy. Nie znam pracy historycznej, w którejby prawda tak okrutnie była znieważoną. Wartości zaś *Odgłosów Targowicy* najzupełniej odpowiada charakter polemiki, jaką p. Askenazy podjął w obronie nieszczęsnego dzieła.

W obronie swojej p. Askenazy nie przyznaje słuszności żadnemu z mych zarzutów. Owszem, oświadcza, że moja krytyka „jest wzorem doskonałym, jak recenzować zgoła niepodobna.“ Sukces dla p. Askenazego niebywały: wyjść samemu ręką obronną i dowieść staremu historykowi, że się rzucił z motyką na słońce. Szkoda, że sukces tak wyjątkowy opiera się na godnych pożałowania nieporozumieniach, jeżeli nie etycznych, to metodycznych, a najpewniej — na jednych i drugich.

P. Askenazy nie przyznaje *otwarcie*, po rycersku słuszności żadnemu z mych zarzutów, choć stwierdza *milcząco* zasadność *aż dziesięciu!* Takie tendencyjne *ukrywanie mojej prawdy* w cieniu zamilczania o niej przedstawia jedną cechę obrony p. Askenazego. Drugą znamienną cechą obrony jest przekręcanie tematu moich zarzutów. Gdy ja twierdzę, że St. August nie zawiadomił Potockiego o swym akcesie *listem z 24 lipca* — p. Askenazy dowodzi, że zawiadomił go o tem *przez Ożarowskiego*. Na moją uwagę, że Sievers nie żądał odwołania gotowości do pospolitego ruszenia — p. Askenazy odpowiada, że poseł rosyjski domagał się „zapobieżenia publikacyi i druku“ uniwersału. Uzasadniam, że w liście St. Augusta z 25 sierpnia niema wyrażenia: król „rozkazał już gwardyom złożyć przysięgę na wierność Targowicy“ — p. Askenazy dowodzi, że Poniatowski pisał w tym liście o wykonaniu przez gwardyę przysięgi. Jam zrobił zarzut, że p. Askenazy listu z 25 sierpnia nie widział, a on rozwodzi się, żem list rzeczony bezzasadnie poczytywał za fikcyę. Zarzucam, że p. Askenazy *nie podaje* roku przy dacie listów — on zaś twierdzi, że żądam *powtarzania* roku przy dacie. Wskazałem pozytywnie opuszczenia w tekscie *dwóch* listów, a p. Askenazy twierdzi, że tylko *w jednym*.

Tendencyjne zamilczanie o pewnych kwestyach, wykręcanie się za pomocą przekształcania tematu zarzutów—to są główne reguły obrończe p. Askenazego. Broni się manewrami niedozwolonymi przy żadnym warsztacie pracy, niedopuszczalnymi zwłaszcza w nauce. Broni złej sprawy, jak adwokat sofista. W krytyce *Odgłosów Targowicy* nie zarzucałem p. Askenazemu złej wiary: mniemałem i mniemam, że błędy, popełnione w tej rozprawce, wyniknęły z pośpiechu w pracy i z lekkomyślności. W sądzie o metodzie obrończej p. Askenazego nie znajduję powodów do żadnej pobłażliwości. Jako autor *Odgłosów Targowicy* p. Askenazy jest lekkomyślnym szkodnikiem naukowym; jako obrońca ich — jest świadomym szermierzem nieprawdy, szermierzem upartym, zarozumiałym i zuchwałym.

(D. n.).

Władysław Smoleński.



Powieść o nauczycielu ludowym.

—•—

Emil Zola w swej *Vérité!* zrobił zwiastunem prawdy, bojownikiem sprawiedliwości i równouprawnienia — skromnego nauczyciela ludowego. Piękny

---

*) P. Askenazy fałszywie przedstawił tę sprawę w swej odpowiedzi. „Więc dlatego — pisze, — że bezsilnemu królowi działa się krzywda i dlatego jeszcze, że Potocki 9 sierpnia wyprawiał kogoś do Warszawy dla odebrania przysięgi od całego wojska, — Stanisław August nie mógł mu pisać 25 o wykonaniu tej przysięgi przez gwardyę: wywód logiczny doprawdy szczególny, zwłaszcza jako jedyna podstawa do wykazania fikcyi dokumentu.“

Byłby to rzeczywiście „wywód logiczny... szczególny,“ gdyby chodziło o fikcyę dokumentu, a nie jego treści. Nigdy nie wątpiłem o *istnieniu* dokumentu, twierdziłem tylko, że go p. Askenazy *nie widział*. Twierdziłem zaś tak, nie dlatego, że król pisał „o wykonaniu przysięgi przez gwardyę,“ lecz że, według p. Askenazego, „*rozkazał* już gwardyom złożyć przysięgę...“ Król nie mógł tak pisać, i to właśnie zakwestyonowałem, nie zaś istnienie samego dokumentu.

Dodam, że w obronie swej p Askenazy do dawnych dorzuca nowe błędy. „Bolesną była—pisze—dla króla zadyktowana gwardyom rota przysięgi, pomijająca, jak wiadomo, imię królewskie...“ Jest to nieprawda, albowiem gwardye przysięgały na wierność królowi i konfederacyi, a na posłuszeństwo hetmanom. Nie było więc pominięte w przysiędze imię królewskie.

pomysł! Tak, ten, komu rzeczpospolita powierza pierwsze kształcenie umysłów dzieci ludu (a w rzeczypospolitej oznacza to: dzieci ogółu) może i powinien być bojownikiem takich idej, boć przecie i sama instrukcya służbowa każe mu wpajać je w lekcyach moralności obywatelskiej przyszłym synom kraju. Ale osoby ostatniego cyklu powieści Zoli są, jak wiadomo, tylko w bardzo małym stopniu osobami żywemi, realnemi; są to nie typy, odzwierciedlające przeciętną rzeczywistość, lecz raczej uosobienia kategoryj ideowych, twory wyobraźni autora, marzącej o tem, jak to powinno być na świecie, jak ludzie w pewnych wypadkach powinniby ruszać się i mówić. To też widzimy, jak jego nauczyciel wiejski prowadzi całą kampanię w obronie niewinnie skazanego Żyda, lecz nie widzimy wcale, ani jak uczy dzieci, ani — jak żyje. Słyszymy wprawdzie o tem, że go źli ludzie prześladują za miłość prawdy, i o tem, że żyje sobie skromnie, z całą ewangeliczną prostotą, odpowiadającą charakterowi jego posłannictwa.

Ale oto inny pisarz — talentem oczywiście od zmarłego mistrza nieporównanie niższy — postanowił pokazać kierownikom i zwolennikom rzeczypospolitej, jak w rzeczywistości żyją emisaryusze jej idei wśród ludu, nauczyciele elementarni, i jak to im jest łatwo w tych warunkach spełniać swe szczytne posłannictwo. Autor powieści p. t. „Jean Coste ou l'instituteur de village,“ p. Antonin Lavergne, z pewnością sam był nauczycielem ludowym, bo zna wybornie wszystkie warunki ich życia. Skąd się ci bakałarze biorą? W znacznej bardzo większości z warstw ludowych; są to synowie robotników miejskich, a częściej jeszcze niezamożnych włościan. Rodzice od ust sobie odbierają, aby synowie, zamiast pomagać im w gospodarstwie lub od wczesnej młodości pracować w fabryce, mogli pokończyć odpowiednie szkoły. Pobudką do tego jest chęć zapewnienia dzieciom wyższego, niż sami mają, położenia społecznego: nauczyciel — to już urzędnik, to pan, który pobiera pensyę od rządu, chodzi w surducie, w niedziele nawet, o ile mieszka w mieście, w cylindrze, to coś lepszego od wieśniaka, utrzymującego się z ciężkiej pracy rąk własnych. Poczęści, szczególniej u ludności robotniczej, miejskiej, działają i pobudki natury idealniejszej: stronnictwo republikańskie przywiązywało wielką wagę do urzeczywistnienia hasła oświaty świeckiej, wolnomyślnej, wyzwalającej umysły, a dla wszystkich obowiązkowej; po przeprowadzeniu odpowiedniego prawa w r. 1881 gorąco odwoływało się do młodzieży, aby szła zajmować przodownicze posterunki nauczycielskie!

Jan Coste jest synem chłopskim. Widzimy go najpierw pomocnikiem nauczyciela w szkole elementarnej większego miasta powiatowego na południu Francyi; tu mu się powodzi nieźle. Wprawdzie stary dyrektor jest dość dokuczliwy, wprawdzie pensya niewielka: 1,000, wyraźnie tysiąc franków rocznie, ale ponieważ rada miejska, nakładając na nauczycieli pewne dodatkowe obowiązki, dodaje im też kilkaset franków, ponieważ i rząd płaci pewne dodatki tym, co mieszkają w mieście, więc można żyć. Coste pokochał młodą dziewczynę, córkę rodziny robotniczej, pracującą w magazynie mód, i ożenił się z nią — ożenił się, choć rodzice wszelkiemi siłami odwodzili go od tego postanowienia, wyszukawszy dla niego zamożną chłopkę, dziedziczkę sporej winnicy i kilkuset franków. Mają dwoje dzieci, żyją bardzo skromnie, ale wiążą koniec z końcem i Ludwika, dumna ze swego męża-urzędnika, w niedziele na spacerze trochę z góry patrzy na koleżanki z magazynu, które powychodziły za robotników w bluzach.

Nagle — przychodzi z dyrekcyi rozporządzenie, przenoszące Coste'a na wieś. Właściwie to on sam się o to postarał, widząc, że wyższa władza szkolna, i zupełnie słusznie, uważa za konieczny warunek awansu na dyrektora wyższej szkoły elementarnej przebycie kilku lat przy szkole wiejskiej. Zresztą Coste, syn chłopski, nie boi się wsi, choć boi się jej bardzo jego żona-mieszczaneczka i rozpacza z powodu opuszczenia miasta. Ale żona ma racyę. Coste nie przewidział, niebaczny, co go tam czeka, jego, „pana,“ urzędnika w surducie, z pensyą — 1,000 franków, bez żadnych dodatków od skarbu, lecz z dodatkiem 250 fr. od gminy za pełnienie czynności pisarza gminnego.

Ponieważ parlament nie może sobie dać rady z budżetem, obciążonym strasznymi wydatkami na armię i flotę, więc nauczyciele nie otrzymują ani grosza na koszta przenosin. Dzięki temu Jana Coste'a czeka na samym wstępie upokorzenie: przybywszy na wieś z resztką pensyi w środku miesiąca, zmuszony jest iść do sklepów spożywczych, od pierwszego razu prosić o kredyt. Przy swej dobroci, chcąc oszczędzić nerwową, chorowitą żonę, sam to załatwia, narażając odrazu swą powagę i reputacyę w oczach wiejskich handlarzy, gardzących ubóstwem. Więc odrazu dług na karku! A potem — potem poprostu z pensyi żyć nie można. Albo trzeba nie mieć dzieci — a tu Coste'owi akurat przybywa dwoje bliźniąt, przez co zdrowie anemicznej Ludwiki pogarsza się okropnie — albo trzeba mieć żonę choć z trochą pieniędzy, o co się też nauczyciele okoliczni starają, korzystając z chęci chłopek wydania się za „panów.“ Życie na wsi dla człowieka nieposiadającego własnego gospodarstwa, wcale nie jest tańsze, niż w mieście: sklepikarze wiejscy wszystko przywożą z poblizkiego miasta. Nieszczęśliwy nauczyciel coraz bardziej brnie w długi. Spada na niego nowy ciężar: ojciec, któremu filoksera zniszczyła winnice, umarł, grunt sprzedano za długi lat ostatnich, stara, oślepła matka, nie chcąc iść do zakładu dobroczynnego, sprowadza się do syna. Nie jest to żaden wypadek nadzwyczajny, wyjątkowy; każdemu synowi chłopskiemu łatwo zdarzyć się może. Ale dla nauczyciela jakie straszne następstwa! Nowa gęba do karmienia, kiedy już nie wystarczało. Stara, zapewne, ma troszkę uciułanych pieniędzy w kufrze, ma i jakiś kawałeczek gruntu po swych rodzicach, posażny, komuś wydzierżawiony; ale kiedy syn, w ostatecznej nędzy, popychany do tego kroku przez chorą, niewytrzymałą żonę, błaga matkę na kolanach o pomoc, ona go nie rozumie, wyrzuca mu, że ją chcą okraść, pozbawić wszystkiego, że ożenił się z gołą niedojdą, kiedy ona mu raiła bogatą i tęgą chłopkę—i odmawia, a w dodatku odtąd z brutalną podejrzliwością strzeże kufra z pieniędzmi przed synową... Między dwiema nic nierobiącemi kobietami ciągłe kłótnie i swary. Jan słyszy je z dołu, ze szkoły, słyszą i uczniowie — i roznoszą po wsi. Jan po odbyciu lekcyj robi wszystko za żonę-mieszczaneczkę, nerwową i anemiczną; dom sprząta, dzieci piastuje, statki zmywa, ubranie sobie łata... I w tych warunkach wypada mu jechać jeszcze na konferencyę nauczycielską.

Są to zgromadzenia kwartalne nauczycieli danego okręgu pod kierownictwem inspektora. W zasadzie bardzo dobre: nauczyciele poznają się na nich i władza ich poznaje, odczytują dobrowolne rozprawki na tematy pedagogiczne, wreszcie jeden, przez los wybrany, ma lekcyę próbną, nad którą toczy się dyskusya. Ale w jaką torturę obracają się te konferencye dla biedaków, przepracowanych, nie mogących absolutnie się przygotować, znędzniałych, drżących przed inspektorem! Cała powieść Lavergne'a jest niewyszukaną, prostą, szarą, jak szarem i beznadziejnem jest życie takiego białego murzyna; kilka tylko jest w niej scen żywszych, wstrząsających, jak np. rozmowa syna z matką, jak później śmierć starej chłopki. Ale między temi scenami jest przygoda Jana Coste'a na konferencyi nauczycielskiej. Nieszczęście chce, że los pada na niego, żeby wypowiedział lekcyę próbną. I ten biedaczysko wychodzi na środek sali w nastroju gorszym od ucznia złapanego; bo uczeń tylko lekcyi nie umie, a on, w wytartym, wyszarzanym surducie, stojąc przed inspektorem, o jednej tylko rzeczy jest w stanie myśleć: żeby zwierzchnik i koledzy nie zobaczyli przypadkiem, wskutek jakiegoś nieostrożnego ruchu, źle położonej łaty na jego spodniach... I duka okropnie ów wykład próbny, zarabiając sobie u inspektora na złą notę, która pewno znacznie opóźni awans.

Coste'a spotyka chwilowa ulga: umiera mu matka. Kilkaset franków, znalezionych w kufrze i otrzymanych za jej skrawek gruntu, pozwala mu wydobyć się z długów. Lecz na krótko. Nadchodzą wybory do rady gminnej. Rada rządząca, z etykietką republikańską, niewiele jest w gruncie rzeczy lepsza od konserwatystów, dobijających się władzy; Coste jednak z poczucia obowiązku agituje za nią; ale szachrować przy wyborach, jak tego wymaga pan mer, nie chce — co mu potem żona gorzko wyrzuca... Bo konserwatyści, zwycięzywszy, mszczą się na biedaku, odbierając mu, pomimo wstawiennictwa poczciwego proboszcza, pisarstwo gminne. Jest to wyrokiem beznadziejnej już nędzy dla nauczyciela. Długi w sklepach na nowo wzrastają, kładą areszt częściowy na pensyi; chłopi coraz bardziej gardzą tym surdutowym oberwańcem i głodomorem; dzieci ich w szkole urządzają sobie pośmiewisko, płatając mu takie np. figle, jak nalepienie kulek smoły na krześle, dzięki czemu cała część biednych zużytych spodni przy wstawaniu — zostaje... Coraz to nowe upokorzenia; głód i uraza w domu; brak wszelkiego promyka. Coste coraz częściej myśleć zaczyna o roztropności tych, co pewnego wieczora zapalają węgle w piecyku, zamykając szczelnie wszystkie otwory izby... Ale od samobójstwa powstrzymuje go jeszcze honor urzędniczy, obawa skandalu...

Tak się kończy — a właściwie nie kończy — ta łzawa powieść o nauczycielu ludowym. Tak wygląda w rzeczywistości bardzo dużo apostołów prawdy, wolności i braterstwa za trzeciej rzeczypospolitej. Lavergne chciał przedewszystkiem poruszyć opinię publiczną, aby na parlamencie wymogła podniesienie materyalnego położenia nauczycieli do poziomu ich zadań i posłannictwa. Ale zarazem napisał powieść obyczajową i psychologiczną, dotknął wielu zagadnień sąsiednich. Tak np. zwraca uwagę i w tej powieści — jak w tylu innych francuskich — bolesna niższość ideowa kobiety. Działalność publiczna męża, jego praca obywatelska obchodzą ją o tyle tylko, o ile wnoszą do domu — dobrobyt, spokój, wygodę! I to — we wszystkich sferach i warstwach...

K. Radosławski.

Notatki literackie i artystyczne.

Niedawno opuścił prasę 6 zeszyt wydanej przez p. Arthura L. Jellinka *Internationale Bibliographie der Kunstwissenschaft* (nakładca — B. Behr w Berlinie, prenumerata roczna — 15 marek), którym pierwszy rocznik nowego czasopisma zakończony został. Wydawca postawił sobie zadanie: dać możliwie pełną i systematycznie ułożoną bibliografię rozrastającego się ciągle piśmiennictwa sztuk pięknych, tej ogromnej ilości materyałów, umieszczanych często w mało znanych i niedostępnych wydawnictwach specyalnych, katalogach, czasopismach, organach prasy codziennej i nieraz ginących w nich niepostrzeżenie. Sądzące

z pierwszego rocznika p. Jellinek, oczywiście z pomocą całego szeregu współpracowników, dopiął celu i w przybliżeniu zdołał zebrać wszystko, co w przeciągu roku 1902 w Europie i Ameryce z dziedziny sztuki w druku się pojawiło. Dość uboga w tym zakresie literatura polska prawie w zupełności uwzględnioną została; przytoczono nawet niektóre przygodne i mało wartościowe artykuły, które bez uszczerbku można było pominąć. Lecz trzeba się zgodzić z redaktorem, że w wydawnictwach tego rodzaju lepszy program zbyt szeroko zakreślony, niż za szczupły.

„Bibliografię“ w sposób bardzo wygodny rozdzielono na osiem głównych rozdziałów, a mianowicie: Leksykony i nowe wydawnictwa peryodyczne; estetyka i filozofia sztuki, historya sztuki, budownictwo, rzeźbiarstwo, malarstwo, sztuki graficzne, sztuki stosowane. Każdy rozdział opracowano według poszczególnych gałęzi, epok, krajów, artystów itd., a cały tom zaopatrzono w skorowidz autorów i rzeczy.

Nie ulega wątpliwości, że „Bibliografia międzynarodowa“ może być wielce użyteczną dla wszystkich, pracujących nad kwestyami w zakresie sztuki i ze wszech miar na ich poparcie zasługuje.

P. E.



ZE SOBĄ.

Kwiatami upojenia zakwitła ma ścieżka —
Mogę się schylić po nie i rwać, ile zechcę;
Przedemną gaj — w nim szczęście uśmiech-
[nięte mieszka;
Zapach wonnych opyłów moje nozdrza łech-
[ce —
Ale ja na kamieniu usiadłem przydrożnym.
Dość mi, że sam się czuję panem lata moż-
[nym...

Niech płynie potok słońca u mych stóp — niech
[płynie;
Niech pląsają libelle dźwięczno-skrzydłą rze-
[szą:
Tylko to, co trwa w czasie, a więc w czasie
[ginie —
Efemerydy jeno łaską dnia się cieszą...
Głaz, który tu w lodowców przypłynął krysz-
[tale,
Chłodnym pozostał nawet w południa upale...

Niech płynie potok słońca... Moja senna dusza
Obojętnem spojrzeniem po blaskach się ślizga.
Przed nią morze wieczności leniwie się rusza
I na kwieciste brzegi pianą wzgardy bryzga...
A ja wiem, że ten bezmiar, co gdzieś ginie
[w ciemnie
I nigdzie się nie kończy — cały powstał ze
[mnie.

Wiem to... Z uśmiechem stare odrzuciłem mity.
Sam jestem twórcą światów i bogiem — bez
[Boga...
Mojem dziełem jest słońce, co nieci zachwyty;
Z mojej woli tak cudnie zakwitła ma droga;
Sam rozkazałem szczęściu czekać na mnie
[w dali —
I śpiewam hymn o sobie, co mą wielkość
[chwali...

A choć samotny jestem, nie jest mi samotnie;
W duszy mojej się zlały istnień miliony,
Dusza ma sama siebie poznaje stokrotnie,
By nigdy się nie poznać... Akt ten nieskoń-
[czony
Daje mi nieskończone nigdy obcowanie
Z tem, co było, trwa jeszcze — i trwać nie
[przestanie.

I miłość mi nie obca... Och, jakież płomienie
Zażega we mnie kontrast, który godzę w so-
[bie...
Jakie bezdennie słodkie, cudne upojenie
Schodzi na mnie w objawień błyskawicznych
[dobie,
Gdy cała piękność moja przezemnie ujęta
W żywy kształt, — przed mym wzrokiem sta-
[je, uśmiechnięta.

Niech płynie potok słońca... Moja senna dusza
Obojętnem spojrzeniem po blaskach się ślizga.
Przed nią morze wieczności leniwie się rusza
I na kwieciste brzegi pianą wzgardy bryzga —
A ja wiem, że ten bezmiar, co gdzieś ginie
[w ciemnie
I nigdzie się nie kończy — cały powstał ze
[mnie.

Leon Rygier.

NA MARGINESIE.

Prawodawstwo fabryczne w Japonii. Rząd japoński ogłosił nowy projekt prawa, rozszerzający ochronne prawodawstwo robotnicze, w celu polepszenia warunków pracy dla kobiet i dzieci. Układy między rządem i organizacyami przemysłowemi co do projektu tego prawa sięgają roku 1896. Rozbijały się one dotychczas o opór przedstawicielstwa pracodawców, mianowicie izb handlowych, którym rząd przesłał projekty dla wydania o nich opinii. Teraźniejszy projekt ma objąć na razie tylko przedsiębiorstwa, zatrudniające więcej niż 30 robotników i uczni; warunek ten znacznie osłabi skuteczność tego prawa, zważywszy, że liczba wielkich przedsiębiorstw w Japonii jest dotychczas nieznaczna. Treść prawa ma przedewszystkiem na względzie ochronę pracy kobiet, a szczególniej dzieci. Jedenaście lat oznaczono jako wiek, najmniejszy dla przyjmowania dzieci do fabryk. Zakłady jednak przemysłowe otrzymały niezwykle długi termin do zastosowania tego prawa w całej rozciągłości, bo aż 10 lat. Skończony 16 rok życia został ściśle oznaczony jako wiek, do którego dzieci mają korzystać z ochrony. Na równi z kobietami między 10 wieczór a 4 rano nie wolno im pracować, zasada ta jednak bywa często naruszana przez różne wyjątki, z których najważniejszym jest wypadek zmieniających się grup w fabryce, przyczem dla tej kategoryi robotników oznaczono jedynie *maximum* pracy 12-godzinne i nakazano dwudniowy wypoczynek po każdych 14 dniach pracy.

Zupełne zastosowanie i tego projektu ma również obowiązywać po upływie lat 10. Jako cel ostateczny, przewidziane jest zaprowadzenie dla tej kategoryi robotników 12-godzinnego maksymalnego dnia pracy.

Dla robotników wogóle zawiera nowy projekt ważne postanowienia w celu ochrony zdrowia i zabezpieczania w razie nieszczęśliwego wypadku. Dotychczas w Japonii nie istniało zabezpieczenie od wypadków i choroby. Na zasadzie nowego prawa przedsiebiorca będzie zmuszony na wypadek choroby robotnika, zamieszkującego dom robotniczy, należący do fabryki (dziwne ograniczenie!), przez ciąg trzech miesięcy ponosić wszelkie koszta kuracyi i w razie śmierci koszta pogrzebu. W razie nieszczęśliwego wypadku, na przedsiebiorcy będzie spoczywał obowiązek niesienia kosztów pomocy lekarskiej, oraz utrzymania pacyenta, gdyby czasowa niezdolność do pracy trwała dłużej niż 5 dni. W razie całkowitej albo częściowej utraty zdolności do pracy, powinien przedsiebiorca dać robotnikowi pensyę za dwa lata, nie więcej jednak nad 250 yenów (yen = mniej więcej 1 rublowi), a w razie śmierci powinien wypłacić rodzinie zmarłego pensyę za $1^1/_2$ roku najwyżej 200 yenów i na koszta pogrzebu najwyżej 20 yenów. Pomimo luk i braków, których ten projekt ma mnóstwo, należy go jednak powitać, o ile go parlament przyjmie, jako podstawę, na której później łatwo będzie budować.

Sp.



Wiadomości społeczne. Senat wyjaśnił, że wydalanie osób postronnych z posiedzeń publicznych nie leży we władzy przewodniczącego, który ma do tego prawo jedynie na posiedzeniach komitetu. Natomiast obecność korespondentów pism uznaną jest za konieczną we wszystkich wypadkach, gdyż tylko tą drogą społeczeństwo zdobywa możność kontroli nad działalnością istytucyj społecznych. (*Jurid. Gaz*).

— Petersburski sąd okręgowy, z udziałem przysięgłych, skazał studenta politechniki kijowskiej, Pinkusa Daszewskiego, obwinionego o zamach na życie redaktora gazety *Znamia*, na 5 lat rot aresztanckich.

— *Priazowskij Kraj* donosi, że d. 5 b. m, ogłoszono w Taganrogu wyrok sądu wojennego w procesie o udział w rozruchach w d. 15 marca r. b. w Rostowie nad Donem. Te rozruchy były połączone z oporem władzy i wojsku, oraz zadaniem śmiertelnych ran esaułowi Antonowowi. Skazano trzech obwinionych: syna kupca I gildyi, Aleksandra Brajłowskiego, kozaka Dymitra Kołoskowa i włościanina Adryana Kuskina na pozbawienie wszystkich praw stanu i karę śmierci przez powieszenie. Dziesięciu innych uniewinniono, a dziesięciu skazano bądź na ciężkie roboty, bądź na roty aresztanckie, osiedlenie na Syberyi lub więzienie na różne terminy. Wyrok będzie przedstawiony do zatwierdzenia atamana nakaźnego.

— Zatwierdzono ustawę warszawskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń na wypadek śmierci.

— Zarząd warszawskiego chrześciańskiego Towarzystwa ochrony kobiet podaje do wiadomości, że według otrzymanych doniesień źródłowych z Buenos Ayres, wyjechał do Europy znany handlarz dziewczętami, w celu zwerbowania, pod pozorem dostarczenia popłatnych zajęć, do domów rozpusty w Ameryce południowej, dziewcząt nieświadomych i kobiet młodych. Wobec tego zarząd ostrzega młode kobiety i dziewczęta, aby nie wierzyły żadnym zapewnieniom, że otrzymają tam zajęcia popłatne lub obietnice zamążpójścia, gdyż czeka je w Ameryce zguba oczywista. W razie wątpliwości interesowane zgłaszać się mogą o wyjaśnienie i radę do zarządu warsz. chrześc. Towarzystwa ochrony kobiet (Leszno 25, od 1 października Leszno 52) od godz. 4 do 6 po południu. Zarząd Tow. uprasza wszystkich ludzi dobrej woli o odczytanie niniejszego niepiśmiennym.

— W *Gazecie Polskiej* czytamy: Od lorda Delamare nadeszła do pism angielskich depesza z Nairobi, stolicy Ugandy, zawierająca w imieniu mieszkańców Afryki wschodniej protest następujący: „Stanowczo się sprzeciwiamy wprowadzeniu do nas obcych Żydów. Istnieje tutaj kolej długości 260 mil (angielskich), bardzo ważna dla kolonizacyi wielko-brytańskiej. Ministeryum spraw zewnętrznych chce oddać 200 mil najlepszej ziemi niepożądanym przybyszom; czy w tym celu zbudowano kosztowną kolej? Napływ wspomnianych ludzi doprowadzi z pewnością do zatargów z krajowcami napół oswojonymi i zazdrosnymi o swe prawa. Trzeba będzie ustanowić oddzielnych urzędników do kontrolowania. Czy poddany angielski, obywatel Afryki wschodniej, może być zadowolony z tego, że taką piękną i drogą ziemię odda się obcym? Jeżeli się ją będzie kolonizowało powoli, to osiądą na niej niewątpliwie kolonizatorowie angielscy nader chętnie. Anglicy tutejsi nawołują opinię publiczną, a zwłaszcza tych, którzy znają tę krainę, do zaprotestowania przeciw postanowieniu, które wtrąci w przyszłości kraj w niezmierne kłopoty.“

— Na skutek protestu galicyjskiego Wydziału krajowego rząd zabronił oddania budowy kolei z Tarnopola do Zbaraża maskującej się firmie niemieckiej, występującej pod nazwiskiem polskiem.

— Administrator dyecezyi wileńskiej rozesłał do duchowieństwa okólnik, polecający, ażeby po zakup organów nowych udawano się do fabryk krajowych, nie niemieckich, jak się praktykowało dotąd.

Szkoły i wychowanie. Wznowiono rozporządzenie ministeryum oświaty, nadające wolnym słuchaczom uniwersytetów tylko prawo uczęszczania na wykłady i zajęcia praktyczne bez możności przystępowania do egzaminów kursowych na równi ze studentami.

— *Prawit. Wiest.* ogłasza, że wszyscy dentyści lub też osoby kształcące się na dentystów, mają prawo po trzech latach od dnia ogłoszenia niniejszego rozporządzenia, chociażby nie posiadali wymaganego wykształcenia, uzyskać stopień lekarza-dentysty po zdaniu w jednej ze szkół fachowych egzaminu ze wszystkich przedmiotów, objętych programem tychże szkół, oraz po zdaniu egzaminu doświadczalnego przed specyalną komisyą w jednym z uniwersytetów lub też w akademii wojskowo-medycznej w Petersburgu.

— Zapisy do szkoły rysunkowej przy Muzeum rzemiosł i sztuki odbywają się codziennie od g. 12 do 2 w południe i od 7 do 9 wieczorem. Zapisywać się może młodzież płci obojej.

— Galicyjska Rada szkolna uchwaliła zaprowadzić jako przedmiot nieobowiązkowy, naukę języka angielskiego w gimnazyach lwowskich.

— Na nowo otworzonym wydziale górniczym w politechnice warszawskiej wykłady prowadzić będą profesorowie dotychczasowi. Przedmioty ogólne będą wykładane jednocześnie dla wszystkich wydziałów danego kursu.

— Do uniwersytetu warszawskiego przyjęto w r. b. na wydział prawny 168 studentów, na medyczny 78, na sekcyę przyrodniczą wydziału fizyko-matematycznego 39, na sekcyę matematyczną 56 i na wydział historyczno-filologiczny 9.

— Dnia 1 października rozpoczną się wykłady teoretyczne i praktyczne na kursach, w ogrodach, pasiekach i warsztatach Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego. Zapisywać się mogą mężczyźni i kobiety nie młodsi od 16 lat, za opłatą 60 rb. rocznie. Obok kursów stałych urządzone będą również dla osób dorosłych 10-dniowe, od 21 do 30 b. m., pouczające o praktycznym zużytkowaniu owoców. Opłata 10 rb. Program kursów stałych obejmuje: w zakresie ogrodnictwa: sadownictwo, warzywnictwo i kwiaciarstwo, nauki pomocnicze, jak: botanika, chemia, fizyka, miernictwo, nauka o gruncie itp. w zastosowaniu do ogrodnictwa, przeroby owocowe; w zakresie pszczelnictwa: naukę przyrody pszczoły, systemy ulów, przybory pasieczne, gospodarkę pasieczną, zużytkowanie miodu i wosku. Na kursach 10-dniowych wykładane będą: zbiór, przesyłanie i przechowywanie owoców; suszenie owoców i warzyw; wyrób win, soków, octów owocowych i miodów; przygotowanie konserw owocowych; wyrób powideł, marmelad i galaret owocowych.

— Podwyższono wpisy szkolne w III gimnazyum żeńskiem z 40 do 50 rb. i w progimnazyum żeńskiem z 35 do 40 rb.

Literatura i prasa. Czasopismo *Rozwleczenie* zawieszone zostało na 6 miesięcy.

— Wydawane w Poznańskiem gazety socyalistyczne *Posener Volkszeitung* i *Gazeta Ludowa*, oraz berlińskie pismo polskie *Narodowiec* nie będą wychodzić.

Ze sztuki. *Prawo* donosi: Z powodu skargi członków Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem na rozporządzenie ministeryum oświaty co do zmiany artykułów 16 i 17 ustawy Towarzystwa, Rada państwa orzekła, że zarządzający ministeryum oświaty nie miał prawa, na wniosek kuratora warszawskiego okręgu naukowego, wydać własną władzą rozporządzenia o zmianie przewidzianego w ustawie Towarzystwa sposobu wyboru członków komitetu i skarbnika. Wobec tego Rada państwa rozporządzenie to zniosła.

— W Salonie Krywulta otworzono wystawę zbiorową prac malarskich Maryana Trzebińskiego.

Sprawy ekonomiczne. Dnia 12 b. m. otworzoną została wystawa wyrobów galanteryjnych w salach Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie.

— Zatwierdzono ustawę Tow. pożyczkowo-oszczędnościowego w Chęcinach.

— Ministeryum rolnictwa organizuje kilka stacyj doświadczalnych, chmielarskich w Królestwie Polskiem; nadto postanowiono popierać zakładanie drobnych spółek chmielarskich.

— Ogłoszono rozporządzenie o przeniesieniu zarządu zachodniego okręgu górniczego z Suchedniowa do Warszawy.

— Dnia 28 b. m. otworzono wystawę rolniczą w Łomży.

Zdrowie publiczne. Do Marsylii zawleczono dżumę w ładunku szmat dla papierni — zmarło 13 osób, kilkanaście oddano pod ścisły nadzór lekarski; fabrykę zadżumioną spalono.

— Z Pekinu donoszą, że w Niuczwangu wybuchła dżuma. Dotychczas zmarło kilkadziesiąt osób. Zaraza szerzy się gwałtownie wobec braku wszelkich środków zapobiegawczych, zwłoki umarłych leżą po kilka dni na ulicach.

Koleje i komunikacye. Nastąpiło porozumienie w sprawie połączenia kolei Kaliskiej z niemieckiemi. Stacya przeładunkowa z linii normalnej na szerokotorową urządzona będzie na odnodze między Kaliszem a Skalmierzycami.

— Na stacyi Koluszki, kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, wprowadzono przyjmowanie korespondencyi rekomendowanej.

— Zarząd kolei Nadwiślańskich otrzymał polecenie, aby w razie wpłynięcia prywatnych próśb o pozwolenie na ładowanie i wyładowywanie bydła rogatego na stacyach nieotwartych dla tego rodzaju operacyj, prośby takie załatwiano w porozumieniu się zarządu kolei z właściwym gubernatorem, nie, jak dotychczas, z ministeryami spraw wewnętrznych, komunikacyj i rolnictwa.

— Główny zarząd poczt i telegrafów polecił, aby za dosyłanie miejskich listów pieniężnych adresatom, którzy wyjechali do innych miejsc, ściągano tylko różnicę pomiędzy taksą wagową miejską i zamiejscową. Adresaci mają prawo nie przyjmować takiej korespondencyi bez rozpieczętowania jej.

Klęski żywiołowe. *Czas* donosi, że według dokładnego obliczenia straty, spowodowane gradem, powodzią itp. w ciągu lata bieżącego w Galicyi, wynoszą przeszło 140 milionów koron.

— W Starym Korczynie, pow. Pińczowski, spaliło się 25 domów mieszkalnych i 32 budynki gospodarskie. Szkody w nieruchomościach nieubezpieczonych wynoszą około 7,000 rb.

— Straty, wyrządzone powodzią na Śląsku, obliczono na 200 milionów marek.

— W m. Ostrogu, gub. Wołyńskiej, spaliło się kilka ulic — setki rodzin znalazły się bez dachu i chleba.

Zmarli. Paweł Gauguin, artysta-malarz francuski, na wyspie Thaiti.

— Fryderyk Kaulbach, słynny portrecista, w Hanowerze.



Panu B. G. Kijów, ul. Mikołajewska 4, Tow. Akc. Dietrich i Hille.

OFIARY.

Na powodzian. Skowroński z Birska 1 rb., Urzędnicy Jędrzejewskiego oddziału wzajemnych ubezpieczeń 6 rb., Malecki i Paszkowski 4 rb.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурую, Варшава 4 Сентября 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.